Nr. 17. Warszawa, dnia 17 (29) Kwietnia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism perydycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

O JĘZYK URZĘDOWY.

Dnia 22 b. m. sejm w Pradze czeskiej, obradujący bez udziału Niemców, którzy w tym roku wcale do niego nie weszli, uchwalił prawo o języku urzędowym władz autonomicznych w całym kraju, w okręgach zarówno czeskich, jak niemieckich i mieszanych. Uchwała ta potrzebuje jeszcze zatwierdzenia cesarskiego, aby się stać obowiązującą, ale i bez zatwierdzenia nie przestanie być ważną: do śmiertelnego sporu Niemców z Czechami w ziemiach korony św. Wacława i Niemców ze Słowianami w całej Austryi wniesie żywioł jedności, jakby oś przyszłego porozumienia, około której i umysły czeskie i umysły niemieckie zarówno obracać się będą mogły, jeśli znużone walką, bez nadziei powalenia wroga, zatęsknią do pokoju i ustalić zechcą porządek. Taka doniosłość uchwały praskiej nie jest mglistą tylko mrzonką: uznanie, z jakiem przyjęły ją dzienniki niemieckie, między innymi *Neue freie Presse*, daje podstawę przewidywaniom dodatniego wpływu samej myśli w prawo wcielonej na umysły i — wątroby niemieckie. Uchwała drogę ułatwi, jeśli tylko namiętność wejść na nią pozwoli. Zatwierdzenie, wielce prawdopodobne, wytworzy takt uprzedni, wytworzy samą rzeczywistość zewnętrzną — argument najbardziej przekonywający; będzie stałym wzorem i zachętą — ale tylko dla ludzi dobrej woli, niestawiających siebie nad Austryą i niemodlących się do Berlina, tacy zaś w obozie niemieckim stanowią niezaprzeczalną mniejszość. Przewrotu spodziewać się nie należy; dobry, choć powolny, wpływ przewidywać można.

Nowe prawo zna dwojakie terytoryum języka urzędowego: gminę i okrąg. I gmina i okrąg same obierają sobie swój język. Na radach gminnych czy okręgach każdy przemawiać może jak chce. Postanowienia wydaje urząd w języku gminy lub okręgu, ale podania w języku urzędowym odrzucać nie ma prawa. Do władz okręgowych, to jest do wydziałów i rad powiatowych, gminy zwracają się w urzędowym swym języku: władze te jednak przyjmować muszą od nich odezwy w języku, który nie jest ani dla nich, ani dla gminy urzędowym. Mniejszość dochodząca do 25%, ma prawo do podań i odpowiedzi we własnym swym języku. W Pradze, która jest okręgiem mieszanym, czynności urzędowe muszą być prowadzone w dwóch językach, według żądania strony. Sejm uchwalił jednocześnie z tym regulaminem i rezolucyę, zalecającą jak największą sumienność w oznaczaniu języka potocznego i narodowości przy spisach statystycznych.

Te są główne rozporządzenia prawa, a raczej projektu, czekającego na podpis cesarski. Niemcy tryumfują, że przecież terytoryum Czech przez nowe prawo czysto czeskie jest tak samo rozkawałkowane, jak miało być, ku wielkiemu obrażeniu Czechów, pokrajane przez projekty niemieckie; ale to tryumfowanie jest tylko podstępem logicznym. Przyjmując zasadę terytoryalności, wprowadzając całe okręgi pod względem językowym niemieckie lub czeskie, Czesi nie dzielą jeszcze kraju tak, jak go chcieli podzielić Niemcy, kiedy całą północną połać królestwa czeskiego zabierali dla swej mowy, dla siebie, jako osobną krainę, z osobną kuryą niemiecką w sejmie. Czesi uznają prawo gminy i prawo jednostki w gminie i w okręgu, a o takich prawach wobec władz politycznych, państwowych Niemcy słyszeć nawet nie chcieli. Jeżeli w obrębie samorządu pozwalają na język czeski, walkę za niedorzeczność uważając, w urzędach ogólno-państwowych pragną słyszeć jeden tylko język niemiecki — to ich ideał, i do urzeczywistnienia jego dążą. Czesi, opierają się absolutnej zasadzie terytoryalności — lękają się bowiem słusznie zupełnego zniemczenia wielkiego obszaru z ludnością przeważnie niemiecką.

Prawdziwem rozwiązaniem sporu byłoby oddanie przewagi osobnikowi ludzkiemu, tj. narodowości w nim tkwiącej, nad obszarem administracyjnym i arytmetyczną jego większością. Każdy Czech i każdy Niemiec, gdziekolwiek stanie, powinienby znaleźć sprawiedliwość w sądzie, wyjaśnienie, pomoc i opiekę w urzędzie w ojczystym swym języku. Nie byłoby mniejszości, ani większości terytoryalnych: byłby człowiek i stojąca za nim narodowość. Nie byłoby powiatów niemieckich i czeskich, okolic należących do samych Czechów i do samych Niemców: byłby jeden kraj, nieporozdzierany na drobne szmatki, w całości swej wspólnie przez Czechów i przez Niemców posiadany. W poszanowaniu jednej narodowości przez drugą znajdowanoby źródło siły i porządku, branoby z niego rozpęd do coraz wyższej kultury. Ale o takim układzie stosunków marzyć byłoby wolno chyba na jakiej nowej Utopii. Na ziemi, na tych 1,400 milach kwadratowych, które stanowią terytoryum Czech, zaniosło się na długoletnią walkę, a zakończenie jej nie przyniesie Czechom organizacyi do zespolenia obu żywiołów zmierzającej.

Podejmowane obecnie przez p. Thuna usiłowania spełzną na niczem. Projektowany podział na pięć stref, czy zon narodowych: czysto-niemiecką, czysto-czeską, przeważnie-niemiecką, przeważnie-czeską i mieszaną — ani u Czechów, ani u Niemców uznania nie znajdzie. Czczem już przywidzeniem ministra jest mniemanie, jakoby ów osławiony § 14, który tylko do rok po roku bieżących, nieustannych, jak życie

samo nieprzerwanych potrzeb zastosowanie mieć może i w nagłych wypadkach mieć powinien — mógł być prawnie użytym i do wprowadzenia rozporządzeń językowych, nie dla samych tylko urzędów, w wewnętrznej ich działalności, ale i dla całej masy mieszkańców, mających przecież prawa obywatelskie, formami konstytucyi obwarowane. Mogło p. Badeniemu wystarczyć rozporządzenie ministeryalne do zapowiedzenia i przygotowania zmian w funkcyonowaniu urzędów; nie wystarczy ani p. Thunowi, ani żadnemu z jego następców § 14 do rozwiązania, choćby najświetniejszego i najpowszechniej uznanego, palącej kwestyi języka urzędowego w Czechach — i w Austryi całej.

Tydzień polityczny. Królestwo włoscy odwiedzili Sardynię. Kilkanaście dni spędzili na wyspie i jej wodach. Robili wycieczki na pobrzeża i w głąb kraju, zajrzeli i na Caprerę, na grób Garibaldiego.

Podróż wywołała demonstracye floty najpierw francuskiej, potem angielskiej: wypadało im podróżników powitać: o obowiązku tym ani admirał Fournier, ani admirał Rawson nie zapomniał. Przyjęto ich z konwencyonalną uprzejmością. Francuzom przyrzeczono wywzajemnić się odwiedzinami w Tulonie; Anglicy dostali toast króla Humberta, stwierdzający istnienie porozumienia się zasadniczego obu mocarstw w polityce śródziemnomorskiej. Cała ta zimna serdeczność, okazana Francuzom od kilku słów do Anglików odrazu prysnęła. Gdyby nie urządzenie umyślne demonstracyi angielskiej dopiero po francuskiej, Francuzi nie byliby się nawet wcale z grzecznościami swemi pod Cagliari kwapili. Przypomniano im istniejące od lat kilkunastu zespolenie, którego celem może być tylko działanie na szkodę Francyi, wbrew jej zamysłom i zapędom. Z takim układem stosunków liczyć się musi i polityka francuska i publicystyka europejska. Panowanie Anglii na morzu, zarówno jak jej panowanie w Egipcie, nakazuje jej trzymać z Włochami, tj. trzymać Włochy w zależności od siebie obietnicą Trypolitanii, którą pragnęliby posiąść Francuzi, mający już Tunis. Toast rozwiewa gadaniny tych, którzy niedawną ugodę o Sudan w obszernem znaczeniu rozciągali już na północne pomorze afrykańskie i odstępowali je Francuzom.

W Austro-Węgrzech Niemcy w sejmie opawskim zdusili czesko-polską rezolucyę równouprawnienia narodowości i uchwalili swoją, zmierzającą do urządzenia stosunków językowych na drodze ustawodawczej, z utrzymaniem wszakże obecnej nietykalności języka niemieckiego. Do tego żądania zachęcił ich sam namiestnik zapewnieniem, że cokolwiek się stanie, niemieckie powiaty Szlązka nietkniętymi pozostaną. Niedawne rozporządzenia dla sądów i władz administracyjnych czekają na wykonanie. Niemcy je sobie lekceważą. Biskup Kopp (Szlązk austryacki należy wyznaniowo do Wrocławia) dopomaga im zamysłami założenia seminaryum niemieckiego. Miał w tym przedmiocie posłuchanie u cesarza. Na zdrowym rozsądku Franciszka Józefa polegać można, że zamysły pozostaną *in petto*.

Protokóły śledztwa w sprawie Dreyfusa przyniosły wiele zajmujących i ważnych nawet faktów. Matactwa w sztabie generalnym nie ulegają już teraz wątpliwości. Hanotaux, Trarieux, Berthulus, Picquart, sami nawet Mercier i Billot zeznawali tak, że najpierw widać nadużycie w wyrokowaniu w r. 1894, a potem pewność łotrostw Henry'ego i prawdopodobieństwo przestępstw Esterhazego. Wracamy ciągle do pytania: co się stało z tym oficerem, który odwiedził Henry'ego w celi na Mont Valerien w d. 31 sierpnia r. z.? Czy znikł już na zawsze, żywcem wzięty do nieba; czy też rozpromienia jeszcze swą niewinnością ziemskie padoły? Kto wie, czyby mu kajdanków nałożyć nie wypadło, gdyby chciano rzeczywiście dobrać się do jego wojskowego honoru?

ŻYCIE SPOŁECZNE

WAŻNE POTRZEBY.

Są u nas zjawiska, potrzeby, niedomagania, wreszcie pewne fakty spełnione, które mają doniosłość społeczną i ekonomiczną, a na które jednak ani ogół, ani prasa nie zwracają uwagi. Przed miesiącem zakończono czynności zjazdu weterynarzy lubelskich. Pisma (z niewielkim wyjątkiem) podały o tem zaledwie wzmianki, gdy jednocześnie szpalty ich były przepełnione licznymi szczegółami o przedstawieniach amatorskich, plotkach prowincyonalnych i ruchu sportowym. Nie wszędzie i nie zawsze można być osobiście, więc nieraz trzeba poprzestawać na tych pobieżnych danych, jakich dostarczają korespondenci. Ponieważ jednak chodzi nam o rdzeń sprawy, więc możemy poprzestać na tych szczegółach pobieżnych, które dają sposobność do wysnucia wniosków ogólnych.

Weterynarya i organizacya weterynaryjna — już samą nazwą i tytułem odstręcza inteligencyę, która nie chce mieć do czynienia z czworonogami. A jednak ta weterynarya jest ważną cegłą w podstawach bytu owej inteligencyi, nie związanej bezpośrednio i widocznie z czworonogami, które przecież nie tylko ciągną ją w wehikułach, noszą na swym grzbietach, lecz dostarczają w najrozmaitszej postaci głównej strawy codziennej.

Weterynarya, zarówno teoretyczna, jak i praktyczna, pozostawia dużo do życzenia. Nie posiada ona mocnej i szerokiej w całym kraju organizacyi, a bakteryologia weterynaryjna zastosowana w praktyce, dopiero jest w okresie usiłowań i prób. Dlatego też liczne obory, zarażone gruźlicą, są bodaj jednem z najgłówniejszych ognisk zarazy śród ludzi; dlatego tak zwana świńska róża wyrządza olbrzymie straty ekonomiczne; dlatego rzeźnie prowincyonalne są nietylko w okropnym, lecz nawet ohydnym stanie; dlatego najuboższa ludność Warszawy spożywa dotychczas bez żadnej kontroli tak zwane „mięso kolejowe," tj. ze zwierząt nie wiadomo gdzie i przez kogo szlachtowanych (może nawet nieraz przez naturę); dlatego takie mięso sprzedawane bez żadnej kontroli za pośrednictwem brudnych przekupniów i przekupek, spożywają przeważnie mieszkańcy siedzib letnich.

Wszystkich powyżej wyluszczonych spraw zasadniczych, związanych nietylko z bytem ekonomicznym, lecz i hygieną ludności, zjazd lubelski nie poruszył i nie wyczerpał całkowicie, ale natomiast poruszył wiele innych, nic mniej ważnych. Jeden z referentów, weterynarz gubernialny, p. Rubiński, wykazał następujące braki organizacyi dzisiejszej: 1) Weterynarze

---

3)

U SCHYŁKU.

Alma. O, matko, matko! Jak on strasznie mówi! Jak on dziwnie patrzy! Ja się go boję...

Matka. Cicho! nie ruszaj się! Ja myślę... że to chyba... Patrz, patrz! To chyba... Boże! Widzisz?

Alma *(zakrywa oczy)*. Och nie! nie mogę...

Matka *(pochyla się nad nim)*. Jak dziwnie się uśmiecha... Jakim słodkim — a jakim brzydkim uśmiechem.—Usta mu drżą a ręce płoną... Kogo on szuka temi rękami? Kogo tak łowi w powietrzu?

Chory *(szepcąc)*... Cieplej — silniej — miękciej. Usta na ustach — pij duszę — do dna — do dna..

Matka *(prostując się)*. I to mój syn?!

Niańka. Panno przeczysta...

Chory *(coraz słabiej)*. Krew w żyłach wre i mdleje—a głowa w otchłani... Och!... *(Rozpłata ręce i opada)*.

Niańka *(zcicha)*. Pani, gdzie jest gromnica? Jezu miłosierny, przyjm duszę, która idzie do Ciebie... *(Szuka gromnicy, zapala ją i szepcąc modlitwy przynosi do łóżka. Alma w krześle, z twarzą w dłoniach ukrytą łka gwałtownie. Matka stojąc wpatruje się ze ściągniętą brwią w twarz chorego)*.

Matka. Precz! *(wytrąca z rąk niańki gromnicę, która pada u stóp łóżka i zataczając krąg gaśnie)*. Synu! Zbudź się! — Ty tak nie umrzesz! *(bierze chorego za ramiona i wstrząsa nim)*. Nie dam ci tak umrzeć. Ja, wyrwę cię z otchłani. Zbudź się!

Niańka *(skrapiając mu twarz wodą)*... Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Chory *(podnosi zwolna powieki)*. Czego chcą ode mnie? Po co mnie budzicie?

Matka. Ocknij się. Miałeś brzydkie widzenie. Przełknij trochę wina, orzeźwisz się. *(Podaje mu kubek do ust, chory pije, budzi się i patrzy przytomniej)*. Weź mię za rękę. Połóż mi głowę na kolanach, tu na mej dłoni. A teraz płacz — płacz wraz ze mną! *(Pochyla się, całuje go w głowę)*.

Chory *(patrząc na łkającą Almę)*. Czego ty płaczesz Almo? Wszyscy po mnie płaczecie? Nie trzeba — nie trzeba. — Ja zgasnę cicho, nie chcę łez. — Ja ginę w odmęcie burzącego się dnia, w chaosie niewiadomości — ja ginę w łzach zwątpienia i tylko cichy anioł nieznanego męczeństwa samotną palmę na mój grób porzuci.

Matka. Nie, synu, musisz jeszcze żyć, aby żyć na nowo.

Chory. Za wiele żyłem, za wiele czułem, za wiele cierpiałem — w kościach moich więcej próchna i grzechu, niż życia. A ty chcesz, abym żył jeszcze.

Matka. Lekarz, który tu wnet przyjdzie, uzdrowi cię.

Chory. Wnet przyjdzie, powiadasz? Ten, co mnie uzdrowi?

(Słychać głuchy zdaleka grzmot).

Chory *(podnosi się i coraz nieprzytomniej)*: Oto już zbliża się. Wiem — to jego kroki. W huku burzy, w łunach pożarów zstąpi na ziemię.

(Błyska i grzmi silniej, w pokoju ciemnieje nagle).

Chory *(wodzi do koła nieprzytomnym wzrokiem)*. Czarnem skrzydłem nakryje ziemię — ciemności nas ogarną, a gniew boży będzie w nich kreślił rozkazy piorunami... Od kopuły do fundamentów pękły mury — kopuła drga! Dzwonią szyby gotyckich okien; płomienie świeczników chwieją się i wnet zgorzą. A ty stoisz niewzruszony, rękę groźnie nad lud wyciągasz — blask kolorowy pada od okien, ślizga się barwnymi wężami po bieli twej sukni kapłańskiej — a ty groźny, karzący wołasz do ludu: Drżyjcie, pokryjcie twarze, uniżcie głowy! Chrońcie się od murów świątyni! Zbliża się wielkość straszna, nieznana. Idzie w ryku burzy, w ogniu pło-

powiatowi są przeciążeni pracą różnorodną, która w Cesarstwie jest obowiązkiem weterynarzy rządowych, ziemskich i miejskich. 2) U nas przeciążeni są tem bardziej, że nie posiadają do pomocy felczerów, skutkiem tego w żaden sposób nie mogą podołać zajęciom. Tak np. w gub. Lubelskiej liczba zwierząt domowych wynosi 1,287,000. Czy może nad tak olbrzymią cyfrą czuwać kilku weterynarzy? 3) Przy przewożeniu zwierząt koleją żelazną na dziesięciu stacyach w gub. Lubelskiej niema osobnych weterynarzy do kontroli i oględzin. Czynność tę spełnia zaledwie trzech weterynarzy powiatowych, wskutek czego każdy z nich ma po 20 wyjazdów miesięcznie. Nie mogą z tego powodu spełniać swojej właściwej służby w powiatach. 4) Wynagrodzenie weterynarzy powiatowych jest bardzo skromne, wynosi zaledwie 600 rb. rocznie. Muszą więc ratować swój byt praktyką prywatną i oczywiście nie mogą należycie spełniać swych zadań zarówno obowiązkowych jak i dobrowolnych. Wielce znamiennym szczegółem (w punkcie 5) jest to, że weterynarze w swoich czynnościach służbowych postępują wedle przepisów i rozporządzeń, wydanych dla Królestwa Polskiego w r. 1844 i 1861, które, pomimo zupełnej zmiany warunków, dotychczas są obowiązującymi.

Na dziesięciu posiedzeniach zjazd poruszył kilka spraw bardzo ważnych. Przedewszystkiem postanowił opracować przepisy co do środków zapobiegawczych i ograniczających szerzenie chorób epidemicznych. Przepisy te mają służyć zarówno dla wiadomości hodowców, jak władz gminnych, policyjnych, administracyjnych i weterynarzy. Dotyczą one szczególnie takich chorób, jak nosacizna, karbunkuł, jaszczur, róża, zaraza świń, ospa owcza, gruźlica bydła rogatego, influenza, epidemiczne zapalenie płuc u koni i bydła, świerzba i wścieklizna. Następnie postanowiono, ażeby nadal były zabijane wszystkie konie nosate, za co właściciele będą wynagradzani po 30 rb. od sztuki. Dotychczasowa opłata, wnoszona przez właścicieli inwentarza, po kopiejce od sztuki, jest zamała, należy ją podnieść do 5 kop.

Zgodnie z wnioskiem p. Rubińskiego, zaproponowano dodanie do pomocy weterynarzom felczerów i podniesienie płacy przynajmniej do 900 rb. rocznie. Sprawa zarazy karbunkułowej wywołała wniosek, ażeby właściciele byli wynagradzani za skóry z padłego bydła. Należy je niszczyć, gdyż zdjęte i sprzedawane, szerzą zarazę nietylko śród bydła lecz i ludzi.

Ważna jest myśl założenia w Warszawie dyagnostycznej pracowni weterynaryjnej, którąby ułatwiała ścisłe rozpoznawanie wypadków wątpliwych. Słusznie też zwrócono uwagę na potrzebę przepisów, dotyczących handlu inwentarzem żywym tudzież surowymi materyałami zwierzęcymi, jak szerść, skóry, kości itd. Nie mniejsze ma znaczenie sprawa przewożenia tych produktów osią, oznaczenia miejsca na targach do sprzedaży skór surowych i innych produktów, wreszcie świadectwa, stwierdzające, że inwentarz żywy lub produkty surowe pochodzą z miejscowości zdrowej. Dla uniknienia nadużyć handlarzy, termin takich świadectw powinien być tylko dziesięciodniowy.

Z innych kwestyj roztrząsano sprawę rzeźni, kontroli pieczętowania i brakowania mięsa, handlu mięsem, nabiałem, czystości sklepów i naczyń, kontroli sanitarnej obór podmiejskich itd. Uznano za konieczne udzielanie pomocy weterynaryjnej inwentarzowi włościan niezamożnych, tudzież wydawanie lekarstw darmo, na co należy wyznaczyć fundusz w każdej gminie przynajmniej po 10 rb. rocznie — „fundusz“ śmiesznie mały. Dla zaznajomienia szerszych mas ludności z przepisami ochronnymi w razie epidemii, tudzież środkami weterynaryjnymi, postanowiono ogłaszać drukiem broszurki przystępne i rozdawać je darmo ludności wiejskiej. Niektórzy z uczestników zjazdu wyrazili gotowość napisania takich broszur. Wszystkie powyższe wnioski postanowiono po zatwierdzeniu przez wyższą władzę, wprowadzić w życie.

Jak widzimy: wnioski te są bardzo ważne i dotyczą interesów zarówno materyalnych, jak i zdrowotnych całej ludności kraju. Pożądanem jest, ażeby takie zjazdy zwołano we wszystkich miastach gubernialnych. Tą drogą można byłoby zebrać najdokładniejsze dane z całego kraju, wyświetlić wszystkie potrzeby i braki sprawy weterynaryjnej w całem Królestwie Polskiem, a dopiero wtedy działać skutecznie bez wielkich omyłek, bez straty czasu, energii i środków. W kraju naszym są weterynarze bardzo światli, ludzie, którzy się odznaczyli nawet w literaturze specyalnej. Tacy powinni bezwarunkowo wziąć udział w zjazdach, a następnie w pracach nad reformą i udoskonaleniem całej organizacyi. Zjazdy wszakże — to tylko doraźny sposób porozumienia. Weterynarya stanowi dziś poważną gałąź pracy około potrzeb mas. Potrzeby te są nieustanne i różnorodne, wymagające ciągłego oryentowania się. Ażeby praca w tej mierze nie była jałową, należy stworzyć stały organ — Towarzystwo weterynaryjne. Dopóki takiej instytucyi nie będziemy mieli, póty wszelkie projekty, wnioski i zabiegi nie przekroczą granic dobrych chęci, a jeżeli nawet wejdą częściowo w życie, to utoną w niem i rozpłyną się, jako doraźne.

LISTY PETERSBURSKIE.

Sprawy finlandzkie. — Cyrkularz generał-gubernatora. — Opinia zagranicy. — Przesiedleńcy. — Panowanie kartofli, jako przyczyna i skutek upadku ekonomicznego.

Wszystkie gazety przedrukowały świeżo następujący cyrkularz generał-gubernatora finlandzkiego (z organu helsingforskiego *Finsk Allmäna Tidning*) rozesłany do ośmiu gubernatorów: „Niektórzy obywatele Wielkiego Księztwa, wprowadzeni w błąd, mylnie dojrzeli w Manifeście Najwyższym z dnia 15 lutego r. b. oraz w dołączonych do niego „ustawach zasadniczych“ zupełne zniesienie przywilejów, którymi naród fiński był obdarzony, zniesienie u-

---

mieni — idzie Wielkie, Nieznane... Drżyj ludu! Tak wołasz, a pod tobą drży już mównica, a dokoła rysują się ściany i na płyty posadzki przypada w trwodze płaczący lud.

(Błyska i grzmot bliższy).

Niańka. A słowo stało się ciałem!

Chory (*podnosząc głowę*). Patrzcie, idzie.

Matka. To tylko grzmi. To pierwsza wiosenna burza. Za nią przyjdzie ciepło.

Chory. Jakaś niezwykła burza. Ściemnia się. Zanadto się ściemnia. Gromy grzmią złowieszczo — będzie orkan. Idzie zniszczenie! Wystawcie krzyż! Pobłogosławcie nim chmury. Rozdzielą się. Co? Złamany? Kiedyż pękł ten czarny, spiżowy krzyż?... Więc dajcie coś innego... Dajcie nu Boga, ażeby zażegnać czemś walące się chmury! Ciemno — nie widzimy nic. Nie widzimy jedni drugich. Strach zjeżył nam włosy — w ciemności świecą tylko blade wylękłe twarze. — Dajcie światło, ogień! — Ach, ludzie noszą czarne zagasłe latarnie. Żadnej-że piersi, w którejby tlił choć jeden płomyk ognia?

(*Piorun uderza*).

Ha! runęło coś! — Słychać trzask pękających spójni — jakiś gmach straszliwy wali się w gruzy. Był tam kto — bóstwo czy ludzie? — Co? Niema? Uciekli wszyscy? — Stał tak pusty, zmurszały — stary gmach udający świątynię. Wewnątrz ział czarną pustką, a na zewnątrz świecił złotą kopułą, a pod dachem kopuły gnieździł się tylko dziki, nocny ptak... A tu nizko, dołem, z pod rumowiska, z pomiędzy uschłych badyli wysuwają się łebki — jeden — drugi — tu trzeci — jakie mnóstwo, spłaszczone, oślizgłe główki szarych długich żmij... Suną rozpostartą piersią po gnijących, umarłych roślinach, otwierają szerokie paszcze i szeleszczą, syczą... Pełzną ku mnie szkaradne, wstrętne — bliżej — bliżej! Wysuwają długie języczki, chcą lizać mi nogi, czepiają się mego płaszcza! — Nałazi ich pełno... Gdzie ja się skryję? Dokąd mam uciec od tego plugastwa, od tych rozpełzłych, niezliczonych podłości! (*Rzuca się w przerażeniu po łóżku, zgarniając dokoła siebie pokrycie*). Poruszyłem chyba jakieś gniazdo... Nie, gnieżdżą się wszędzie, pełzają po ścianach, po oknach, zuchwałe, bezwstydne... Ludzie chodzą wśród nich, po kolana brodzą w tych splątanych, syczących, suwających się gadach — przestali ich się bać, przestali wstręt uczuwać, nie tępią ich, nie wstydzą się swej obojętności. — Ciało mi cierpnie z obrzydzenia, jeżą mi się włosy — ach co za katusze! Wyrwijcie mnie z tych wstrętów, z tej obrzydłej jamy pełnej wężów, bo oszaleję — oszaleję!!

Matka (*kładzie mu lód na głowę*). Już znikły — już niema. Uspokój się, jesteś u nas w domu.

Chory. Ach nie, nie! Przecież widzę. Nawet tu, w domu. Wyłażą z pod ziemi. Rozgościły się wśród ludzkiej rodziny, jakby we własnem gnieździe. — Pełzną mokre, wysuwają się ze wszystkich stron, ze wszystkich domostw i biegną wszystkiemi ulicami na plac w środek miasta; utworzyły pierścień rozwartych, syczących paszcz i drugi, szerszy — kręcących się w zygzaki ogonów. Co one tam węszą? Stają dęba, suną się, jeżą, jak splątane włosy Gorgony... Więcej, coraz więcej ich przypełza, wsuwają się jedne na drugie, wznosi się ich kopiec i rośnie, rośnie... Ach, spójrzcie! Na piedestale wijących się żmij wyrasta nagle jakiś olbrzym kamienny — prostuje twardą pierś i głowę potworną podnosi do góry, jakby chciał wszystkim gwiazdom w niebiosach urągać... A dołem, nizko, zbierają się zewsząd tłumy, tłumy z całego miasta, z zapalonemi pochodniami w ręku, z wieńcami, z lutniami na ramionach. Spieszą mu do stóp. Okrążają go wieńcem — bije z kadzielnic dym ofiarny i lecą kwiaty na piedestał wijących się gadów, a zewsząd szemrze rytm jakiegoś dziwnego hymnu — pół-ubóstwienia, pół-szyderstwa — jakby szydzili z tego, kogo wiel-

stroju kościelnego, unieważnienie rdzennych praw miejscowych, dotyczących wyłącznie Finlandyi, a nawet naruszenie ustroju społecznego i praw własności. Ażeby więc zapobiedz szerzeniu w dalszym ciągu niewłaściwego pojmowania prawa i fałszywych wyjaśnień, jawnie przekształcających znaczenie rzeczywiste wymienionych aktów prawodawczych, uważam za konieczne stosownie do art. 26 i 27, Najwyżej zatwierdzonej instrukcyi dla general-gubernatora finlandzkiego z dn. 12 lutego 1812 r., dać Jaśnie Wielmożnemu Panu szereg wskazówek, w razie gdyby wypadła konieczność wyjaśnienia tego prawa. Akta, o których mowa, ustanawiają tylko trwały i określony porządek formułowania i wydawania praw ogólno-państwowych, tj. dotyczący wspólnych interesów państwa i nieodłącznej jego dzielnicy — Wielkiego Księztwa. Co zaś do spraw, obejmujących wyłącznie potrzeby Finlandyi, to wszystkie one, zgodnie z brzmieniem manifestu Najwyższego, będą i nadal ustanawiane i wydawane tak jak dotychczas. Prawa dotyczące zarazem Cesarstwa i Wielkiego Księztwa, opracowywały dotychczas władze i instytucye Cesarstwa, następnie prawa takie, zatwierdzone przez Monarchę, wydawane były dla kraju w formie manifestów, ustaw. Najwyżej zatwierdzonych opinii Rady państwa, Najwyższych postanowień, rozkazów itd. Tym sposobem ani przy wydawaniu, ani ogłaszaniu ich nie zachowywano porządku należytego. Manifest Najwyższy z dn. 15 lutego ustanawia ścisłość i jednostajność w ważnej sprawie formułowania, wydawania i ogłaszania praw ogólnych dla całego państwa wraz z Finlandyą. Zaznaczyć trzeba, że dzięki manifestowi z dn. 15 lutego, interesy narodu fińskiego będą strzeżone lepiej, niż dawniej, albowiem nadal przy rozpatrywaniu praw ogólno-państwowych w Radzie państwa będą obecni, oprócz general-gubernatora, minister, sekretarz stanu tudzież kilku senatorów Cesarskiego Sejmu finlandzkiego. Rozstrzygamie zaś, jakie sprawy mają podlegać prawodawstwu ogólno-państwowemu, zależy od Monarchy. Dodać jeszcze trzeba, że Jego Cesarska mość Najjaśniejszy Pan, kochając swój naród fiński, ufając jego wierności i nieustannie troszcząc się o jego dobro, nie ma zamiaru wprowadzać w Wielkiem Księztwie Finlandzkiem nowych praw, naruszających rządy wewnętrzne i ustrój, zatwierdzone przez Manifest Najwyższy z dn. 26 października 1894 r."

Sprawami Finlandyi zaczyna się zajmować również zagranica. Między innymi p. Stead w piśmie angielskiem *Review of Reviews* zamieścił artykuł p. t. „Home rule in Finland." Autor zajął odmienne stanowisko, niż inni publicyści i politycy angielscy, szydzi z ich oburzenia i wytyka sprawy irlandzkie, uważa, że doniosłość ograniczeń przesadnie jest traktowana.

Z powodu tego artykułu *Swiet* wypowiedział następujące uwagi znamienne: „Głos publicysty angielskiego ma znaczenie podwójne. Nie można mu zarzucić, że idzie za *Mosk. Wied.*, następnie zaś upoważnia on do przypomnienia, że chęć wywołania zatargów wewnętrznych jest ulubionym atutem polityki angielskiej, zwłaszcza w przeddzień wypadków poważnych. Dreyfusyada pozwoliła Anglii odebrać Francuzom Faszodę i brzegi Nilu, ale Anglicy widocznie nie wiedzą o tem, że w Rosyi nie tak łatwo, jak w Paryżu, stworzyć coś w rodzaju dreyfusyady."

Zdania o sprawie finlandzkiej zasięgają korespondenci pism rosyjskich u różnych obywateli państw obcych. Między innymi jakiś korespondent jednego z dzienników petersburskich spotkał się z „obywatelem" Norwegii, który mu podobno miał wyłożyć taki charakterystyczny pogląd: Dla nas byłoby pożądane, ażeby Szwecya poparła czynnie sprawę Finlandyi. Pożądanem zwłaszcza, że podzielam politykę Rosyi względem księztwa. — Bardzo pięknie — odrzecze na to korespondent — ale przecież Norwegia musiałaby pospieszyć z pomocą zbrojną Szwecyi! — Tak jest istotnie; ale zanimby to nastąpiło, Szwecya już by uległa przemożnej potędze Rosyi. A wy? — A my wtedy z wdzięcznością poddalibyśmy się pod panowanie tak potężnego mocarstwa i byłoby to dla nas prawdziwem szczęściem, bo pomyśl pan sobie tylko, ilebyśmy portów rosyjskich zyskali! Jakby się nasz handel wzmógł i rozwinął!

Pisma podały niedawno wiadomość, że general-gubernator finlandzki musiał zawiesić wydawnictwo dwu dzienników miejscowych *Nya Pressen* na dwa miesiące i *Afton Posten* na miesiąc za to, że, jak mówi główny zarząd do spraw prasowych, „nad miarę i w formie nieprzyzwoitej krytykowały i potępiały działalność rządu, skutkiem tego budziły nieufność ludności względem zarządzeń władzy. Nadto—przewrotnie tłomaczyły stosunek istotny Finlandyi do Cesarstwa, szczególnie zaś myśl i znaczenie manifestu z dn. 3/15 lutego.

Niedawno *Prawda* w osobnym artykule, pisząc o naganoe emigracyjnej, scharakteryzowała warunki przesiedlenia ludności włościańskiej na Syberyę. Jako uzupełnienie tej charakterystyki, mogą posłużyć szczegóły podane przez korespondenta *Ruskich Wiedomosti*. Jadąc na daleki Wschód, spotkał on po drodze przesiedleńców, powracających z Syberyi. Zawiązał z nimi rozmowę i dowiedział się o ich smutnej doli. Jeden z wychodźców zabrał z sobą żonę i pięcioro dzieci (najmłodszy miał pięć lat, najstarszy 18). Troje najmłodszych umarło z dyfterytu, dziewczyna 15-letnia z choroby brzusznej w gub. Tobolskiej. Następnie żonę zabiła gorączka. Pozostał tylko jeden syn.

— Wracasz więc do domu, do ojczyzny?— zapytał korespondent. Tak, do ojczyzny, ale jakiż mam dom? Opuszczając swoją wioskę, sprzedałem cały dobytek i chatę. Tylko ziemia została. Trzy dziesięciny. Lecz cóż z tego? Gospodarstwa nie ma. Całej gotowizny mam niespełna 10 rubli. — Ileż wogóle wydałeś pieniędzy?— Przeszło 200 rubli. W drodze na Syberyę rozeszło się więcej, niż 30. To herbaty, to mleka dzieciom, to dla siebie tytuniu. Przecież droga daleka. Na miejscu mieszkaliśmy siedem miesięcy. Wszystko trzeba było kupować: i chleb, i sól, i siekierę, i rydel, i konia, i nóż — za gotówkę, płacić drogo. Najmowałem robotnika, żeby się prędzej urządzić, a gdy córka i żona umarły, porzuciłem wszystko i wracam. Cóż teraz będziesz robił? — Pójdę na parobka i syn także.

Byli i inni, tacy, którzy na wyprawę do Syberyi stracili gospodarstwo, a w ziemi obiecanej pochowali rodzinę. Włościanin z gub. Witebskiej przyszedł do przeświadczenia, że w jego stronach rodzinnych jest lepiej, niż na Syberyi. Chociaż za Uralem dają ziemi dużo, ale nie zawsze ona jest dobrą. „Albo tajga, albo błoto." Są szczęśliwi, co dostają ziemię dobrą. Takich niewielu.

Pomimo tak dotkliwych rozczarowań, pomimo ciągłych niepowodzeń, liczne rzesze nieustannie jadą na Syberyę poszukiwać szczęścia. *Birż. Wied.* donosiły, że przez Charków przejeżdżają ciągle wielkie rzesze, wędrujące do różnych miejscowości syberyjskich. Wielu wychodźców jedzie z licznemi rodzinami. Dzieci, liczących niespełna lat 10, jest bardzo dużo, często więcej, niż dorosłych. W Odesie gromadzą się ogromne partye i stamtąd jadą do „kraju" Południowo-Ussuryjskiego. W roku bieżą-

---

bią... W mgławy sen rozwiewa się Heliogabal ze swą ofiarą dla samobóstwa, bledną w liliowej mgle drżące ze strachu tłumy z trybularzami ofiarniczymi w dłoni, z ogniem tłumionej wściekłości w oczach. Tu, bliżej! Przed kamiennym kolosem gną się kolana i pożądliwe spojrzenia podnoszą się ku potwornemu obliczu... W liliowy sen rozwiał się Heliogabal... (*Przytomniej*). Sciemnia się, noc nadchodzi — czy ujrzę jeszcze dzień nowy?

Matka. Mój drogi, noc jeszcze nie nadeszła, to tylko chmury zasłoniły światło, i tyś młody, przetrwasz jeszcze niejedną noc burzy.

Chory (*j. w.*). Zmęczony jestem.

Matka. Mówiłeś za wiele.

Chory. Myślę za wiele. Chciałbym, aby jakiś powiew senny przyćmił mi czujną pamięć. Almo, zaśpiewaj mi cośkolwiek, jaką cichą, monotonną kołysankę, jak szepty traw łagodną. Albo nie! Chciałbym posłyszeć jaką starą balladę... o Ryczerzu Żelaznej ręki, lub o hrabi Rolandzie. Dajcie mi puhar pełen pieniącego się wina, chcę spełnić toast za Rolanda! Chciałbym, aby mi w ustach dzwonił chrzęst pancerzy i brzęk długich mieczów; pragnę widzieć w czystem powietrzu rozwiane chorągwie krzyżowców, pragnę słyszeć tentent ciężkich, okutych koni. — Gdzież minstrele rycerza Lwie serce? Żaden bard stary nie uderzy w struny — tylko krzyżują się w powietrzu lecące róże z wieńców trubadurów, tylko krążą w lekkim wietrze zdmuchnięte z hełmów pióra... Niechbym ja miał taką pierś w stal zakutą, taki żelazny miecz w prawicy, i takie serce w piersiach niezgięte, i taki polot na skrzydlatym koniu — i taką w źrenicy ociemniałość!... O, matko, jak mi tęskno!... Nieznane błyskawice drgają mi w mózgu i w tym mkliwym świetle otwierają podwoje na jakiś obraz nieuchwytny wzrokiem, jasny, wonny, szeroki... Mignie przeczuty, niepojęty— i ginie wnet, jak tęcza roztopiona w chmurze. Jak mi tęskno... Chciałbym coś kochać, w coś wierzyć — chciałbym mieć w ręku coś silnego, przyrosłego do mej dłoni Ach, na Boga! Musi wreszcie być gdzieś jakaś przestrzeń inna, nie dzisiejsza — musi nowy świat iść do nas, jakieś Betlejem z nowonarodzonym Bogiem dla tęskniących... Jak mi tęskno... Chciałbym głowę złożyć na obłoku i płynąć cicho w ten jasny świat nieznany, chciałbym tam, u jego podwojów zawisnąć w milczeniu wśród szelestu błąkających się komet, wśród łamiących się promieni wschodzącego słońca. Chciałbym tak skonać — z głową w aureoli nadpływających blasków, z sercem pełnem gwiazd — chciałbym w tej ostatniej godzinie uczuć lekkość niegniotących sfer i chciałbym widzieć srebrność łez własnych — cichych, błogich, rzewnych, skruszonych łez, odkupienia łez... Chciałbym tak konać...

(*Cisza, słychać tylko szum ulewy i huk wiatru. Zaczyna błyskać ustawicznie. Chory zwraca twarz ku oknu, uśmiecha się, potem wyciąga ręce do światła błyskawic*).

Matka. Co widzisz, synku? Za czem tak ręce wyciągasz?

Chory (*z uśmiechem*). Widzisz? Znów — znów! Ach, niknie! O, jeszcze! Ach, matko, widzę, widzę!

Matka. Cóżeś zobaczył?

Chory. Cicho! Nie płoszcie... Ach, ach, cudowna! Boże, co to ze mną się dzieje.. (*Wpatruje się w bladą światłość okna*). Obłok lekki, różowy — jakieś niewidzialne słońce oświeca go z dołu. — Pasmami płyną na ziemię światła z róż i złota, jasność radosna rozszerza się dokoła. Jak cicho! Liliami pachnie i białą różą — a tak ciepło, tak błogo! — Chce mi się ramiona wyciągnąć w nieokreślonej rozkoszy, co prawie zmysłów nie tyka, a budzi duszę i ciało czyni lekkiem, zdrowem. — Pragnę rzeczy wzniosłych, płomiennych, w ręku, w ramionach czuję naprężenie czynu, pod czaszką palą mi się obrazy walki i zwycięztw— a tak lotno w sercu, tak płomienno w ło-

cym przewidują, że statki floty ochotniczej przewiozą 7,900 ludzi. Oto są warunki podróży na statkach owej floty: Za przewóz człowieka starszego nad lat 10 przedsiębiorstwo żeglugi parowej pobiera 90 rb., za dzieci od 3 do 10 lat — 45 rb., za młodsze od 3 lat — 22 rb. 50 kop. Za przewóz partyj, w których przeważają kobiety, opłata jest nieco mniejsza. Z gub. Wiackiej i Kałuskiej przewożone będą rodziny, posiadające najmniej 300 rb.

Śród wielu czynników, wpływających na wzrost wychodźctwa, niewątpliwie wybitne miejsce zajmują... kartofle. Znany praktyk-ekonomista rosyjski, p. Engelhardt, w *Synie Otiecz.* zwrócił uwagę na to zjawisko. W ogólnym upadku dobrobytu mas ludności rolnej powszechnie daje się spostrzegać ubytek bydła i koni, a jednocześnie pomnożenie się tak zwanych „niedorostków“ (koni niedochodzących do wzrostu normalnego), oraz zwiększenie procentu rekrutów niezdolnych do służby wojskowej. Otóż przyczyną takiego stanu rzeczy, zdaniem p. Engelhardta, jest przewaga kartofli w gospodarstwie rolnem. Produkt ten znany jest w Rosyi od lat 100. Ale do r. 1840 uprawa posuwała się bardzo powoli. Było dość zboża na chleb dla ludzi, na karmę zaś dla bydła i koni nie brakło siana, owsa i ostatków w stodołach. Nie wyrabiano z kartofli ani wódki, ani krochmalu. Musiano nawet użyć środków przymusowych, ażeby rozwinąć uprawę ziemniaków. Zaczyna się ona wzmagać dopiero od r. 1840. Na dobre zaś produkt ten zapanował w całem państwie od r. 1886, z chwilą wprowadzenia taryf opiekuńczych. W ciągu dziesięciolecia uprawa kartofli wzrosła w dwójnasób. Obecnie zbiór ich w Rosyi dochodzi do 133 milionów czetwerti (1,200 milionów pudów). Z tego na produkcyę okowity idzie około ośmiu milionów, na wyrób krochmalu milion, reszta — 125 milionów — na pokarm dla ludzi i bydła. Ale ponieważ chów bydła w Rosyi upada, więc głównymi spożywcami kartofli są ludzie. W ciągu ubiegłego dziesięciolecia najbardziej się wzmogła uprawa kartofli w guberniach środkowych, w których przeludnienie przyspieszyło upadek gospodarstwa włościańskiego.

Właściwie całą tę sprawę ekonomiczną, bardzo doniosłą, trzeba rozpatrywać z dwóch stron: Rozwój uprawy kartofli jest więcej skutkiem, niż przyczyną upadku materyalnego ludności. Z powodu wielkich przesileń i wstrząśnień ekonomicznych kartofle, jako najtańszy produkt, jako środek walki z głodem i zagładą, zapanował na znacznych obszarach.

Paweł Krzyżanowski.

IDEAŁ DOBRA
ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

(Odczyt publiczny na Osady rolne).

III.

Powyżej dziedziny rozkoszy fizycznej roztacza się rozległa sfera rozkoszy duchowych. Jest to niebo na ziemi, zachwyt świadomości, to pełne niewysłowionego czaru wzruszenia, które nas upajają, podnoszą i pieszczą, kołyszą i krzepią. Ale treść tych wzruszeń w maleńkiej tylko cząstce wiąże się z naszą miłością własną, w przeważnej zaś części dotyczy miłości wszystkiego tego właśnie, co leży po za granicami naszego „ja.“ Wszelki czyn rozsądny, którego źródłem jest miłość nasza, nieodnosząca się do samolubstwa, jest urzeczywistnieniem ideału dobra. Urzeczywistnianie tego ideału jest stwarzaniem najwyższego, najtrwalszego szczęścia na ziemi dla nas samych. Miłość — to cała dostojność życia, to cała jego wartość, wielkość i potęga. Rozumiemy tu miłość w obszerniejszem znaczeniu, ogarniającą bliźnich, rodzinę, kraj, ludzkość, naturę i jej siły twórcze. Najwalniejsze tedy źródło naszego szczęścia wytryska tam, gdzie ustaje wpływ popędów egoistycznych. Jest to dziwne, a jednak prawdziwe. Dowodzi to, że natura podnosi człowieka po nad sferę samolubstwa, które broni tylko bytu niżej stojących istot, człowieka zaś osłania popęd wyższy, bardziej złożony — altruistyczny.

Jakkolwiek najwłaściwszą mistrzynią naszą winna być natura, uciekamy zbyt często od jej nauk lub najopaczniej tłomaczymy jasne jej wskazówki. Zapominamy, że wszystko, co istnieje, jej zawdzięcza swój byt, a w dumie i zarozumiałości naszej przeciwstawiamy jej czynnik jakoby odmienny rdzennie, twórczość ludzkiej myśli, ludzkiego geniuszu. Jak gdyby ta myśl nie była jedną z sił przyrody, jak gdyby ten geniusz mocen był z woli własnej cokolwiek sam zdziałać, co byłoby istotnie sprzecznem z planami, że się tak wyrazimy, natury, coby choć w najdrobniejszej cząsteczce mogło ostać się wbrew naturalnemu i koniecznemu tokowi rzeczy. Te granice szerokie, śród których niby na arenie ma geniusz ludzki sposobność zarówno popełniać grube błędy, jak święcić tryumfy, są także nakreślone wolą natury. Im lepiej pojmować będziemy jej prawa, tem więcej odniesiemy zwycięztw; im gorzej je znać będziemy, tem bardziej uwiodą nas pomyłki. Że najusilniejsze tłumienie w sobie popędów egoizmu, a podniecanie natomiast altruizmu jest warunkiem najbardziej sprzyjającym naszemu rozwojowi, naszej pomyślności, naszemu szczęściu, tego uczą nas należycie rozumiane prawa przyrody.

Faktem jest, że nasze czynności duchowe wywierają potężny wpływ na sprawy fizyczne ustroju.

Mózg jest narzędziem ducha — a oddziaływa on na gospodarstwo naszych tkanek i narządów przez pośrednictwo wychodzących z ośrodków nerwowych do obwodu ciała różnych grup nici nerwowych. Nici te pod wpływem różnych stanów fizyologicznych mózgu, sprzężonych z rozmaitymi stanami naszej duszy, wywierają rozliczne wpływy na mechaniczne i chemiczne stosunki naszych narządów i tkanek. Grupy te stanowią:

1) nerwy ruchowe mięśni prążkowanych, tj. dowolnych, wywołujących pod wpływem pewnych stanów ducha pewne przemiany mechaniczne i chemiczne w tkance mięśniowej, tak np. między innemi skurcz wściekłości, bezwład trwogi, drżenie gniewu;

2) nerwy regulujące ruch serca, które tak jest wrażliwe zwłaszcza na stany naszego czucia duchowego, a którego czynność znowu odbija się na wszystkich niemal komórkach naszego ustroju;

3) nerwy ruchowe mięśni gładkich, a więc mięśni przedewszystkiem trzewiów naszych, które przyjmują żywy udział w zmianach naszego usposobienia duchowego: więc np. mdłości na widok lub przypomnienie rzeczy obrzydliwych, zwiększenie ruchu robaczkowego kiszek pod wpływem wzruszeń ujemnych itd.;

4) nerwy wydzielnicze, które wpływają na procesy chemiczne gruczołów naszych i powodują łzy cierpienia lub radości, zimny pot strachu, pianę gniewu, zahamowanie wydzielin żołądka i kiszek i idący za tem brak łaknienia w smutku itd.;

5) nerwy naczynio-ruchowe, które wywołują rumieniec wstydu, bladość trwogi, szkarłat gniewu itd.

Najpotężniejszy wpływ na gospodarstwo wewnętrzne ustroju naszego wywierają stany naszej czuciowości, a przede-

---

nie! Bezmiar pożądań, bezmiar szczęść pierś mi rozsadza... Matko, jak ja cię kocham, najdroższa! — Czuję miłość w każdym oddechu twoim; chcę u nóg ci ledz i całować stopy twoje, płacząc. — Almo, daj rękę, jeszczem słaby trochę, ale czuję jak siły wracają mi szybko. Daj rękę, ukochana; pójdźmy na to wzgórze pełne fijołków, będę je rwał i wplatał ci we włosy, a ty w niebie utopisz źrenice i wzrok mój poleci za niemi. Co za chwila! co za chwila! Widzę jakieś niezwykłe rzeczy... Patrzę w samą głąb wszechbytu — rozumiem wszystko. Przeszłość i przyszłość w moich oczach wiążą się w nieśmiertelny łańcuch wieczności, a ja w niej króluję, ja ją przenikam od końca do końca! Stoję w środku wszechwidzącej, wszechwładnej miłości: ona mi zdejmuje opaskę z oczu i każe oczami prawdy patrzeć w wielkie tajemnice. Słyszę ruch gwiazd — czuję tętno serc ludzi — całej ludzkości! — I ja skrzydła mam u ramion, i ja, duch duchów, płynę w tym bezmiarze, w tym oceanie pragnień, w tym wirze uczuć! Serce moje goreje wszystkiemi tętnami ziemi, wszystkiemi pożądaniami ducha, wszystką miłością wszechświata! Ja wiem, dokąd lecę — wciąż wyżej, wciąż szybciej, dalej — dokąd lecę na skrzydłach z płomienia i ducha mleczną drogą nieśmiertelnych mgławic, powietrznym szlakiem miłości. Ja wiem, dokąd lecę — świadomym mego celu i mojej drogi — otwartą powieką słońca patrzę w słońce, zmierzyłem się z niem i pożądam go! Almo, niech się twe ręce rozplotą, słodkie, niebiańskie dziewczę, to nie dusza, to nie ciało twoje dają mi tę moc, tę jasność, ten płomień... „Wyszła, wyszła z za obłoku, ludom się pokaże...“ Na obłoku z płynnego złota i róż oparła stopy swe królewskie, dwanaście gwiazd na skroń wiankiem jej upadło, jak lekkie tchnienie różowej mgły, tak nikła szata postać jej boską otula. „Piękność z płomieniem w oku z gwiazdami na czole.“ — „A pod nią mgła z ognia i szkła bałwany bijąca, by znieść ją z miesiąca, postawić na ziemi...“ Ja tam ją zerwę w pełecie z obłoku jednem ujęciem moich silnych ramion, ja nią ciebie uskrzydlę, jej światłem rozpłonę. Ona mię sobą otuli, łańcuchem ciepłych dłoni obwinie mi piersi, ustami z płomienia na ustach moich zawiśnie.—I lecim tak — nie wiem, jedniśmy czy dwoje? Ciałaśmy czy duchy? My, dzieci ziemi, szlakiem słońca ku słońcu lecimy...

(Grom; chory drgnął i upada na poduszki).

Chory *(po chwili z cicha)*: Znikło... Jak krótko trwało! Jedna błyskawica otworzyła mi podwoje jakiegoś świata, druga zabrała widzenie... Tyle tylko widziałem szczęścia, co jest myśli bożej między błyskiem i gromem. Lecz nagle zgasło. Już nie pamiętam... Nie pamiętam nic.—I znowu ciemno...

(Piorun uderza. Chory siada na łóżku).

Słyszycie? Oto już teraz nadchodzi. W ryku burzy, w ogniu błyskawic.—Niech wejdzie! Otwórzcie szeroko podwoje, niech wejdzie. Zabójca czy wskrzesiciel —wszystko mi jedno—niech wejdzie! Potępienie mi niesie, czy uzdrowienie — musi mnie zdjąć z mego łoża niemocy, z mojej tortury wątpień, musi nasycić głód mojej duszy... *(Słychać stąpanie na schodach, chory obraca twarz ku drzwiom chciwie).* Ktokolwiek jesteś — ty nadchodzący — mój wróg czy zbawca, witaj mi! O, nowy dniu! Ty — jutro nieznane — bądź pozdrowione!

(Drzwi otwierają się, na progu staje młody lekarz).

Matka *(powstając)*. Lekarz przyszedł.

W. Dal.

wszystkiem najjaskrawsze ich momenty, t. zw. wzruszenia moralne.

Drugim faktem fizyologicznym jest to, że wzruszenia przyjemne przez pośrednictwo wyżej wspomnianych gałęzi nerwowych wzmacniają nasze zdrowie, podnoszą odporność ustroju, przedłużają życie. Natomiast przykre wywierają na nas wpływ wprost odwrotny. Otóż przyjmując dwa fakty, na których naukowe udowodnienie ramy niniejszego odczytu nie pozwalają, mianowicie, 1) że wzruszenia moralne wpływają wybitnie na stan zdrowia i 2) że przyjemne, czyli — że tak je będziemy nazywali — dodatnie, wywierają wpływ pomyślny, przykre zaś, czyli ujemne —wysoce szkodliwy — przyjrzyjmy się w dalszym ciągu, jakie najczęściej wzruszenia płyną ze źródła egoizmu, a jakie są najczęstszym owocem popędów altruistycznych. Zobaczymy, że egoizm darzy nas najczęściej wzruszeniami ujemnemi, więc szkodliwemi dla zdrowia, altruizm natomiast — dodatniemi, więc pożytecznemi.

Przywiązanie do życia, jak wspomnieliśmy wyżej, jest jednym z najsilniej związanych z naturą naszą uczuć; jest to jeden z najpierwotniejszych instynktów; do jakiejże strasznej potęgi dochodzi to uczucie u ludzi nazbyt pochłoniętych potęgą egoizmu! Niebezpieczeństwa, otaczające ze wszech stron wątły ustrój żyjący, są i tak bardzo liczne, cóż dopiero gdy przybywa tu cały zastęp czyhających na nas klęsk, zrodzonych przez wyobraźnię. Obawa śmierci i idąca za nią obawa choroby jako najbardziej pochyłej do niej ścieżki — to już niezmiernie obfite źródło wysoce ujemnych wzruszeń. Nieprzerwany lęk — oto bezpośredni skutek zbytecznej miłości samego siebie. Nieustające tedy cierpienie strachu—wzruszenia najujemniej wpływającego na zdrowie, dzielność i trwałość życia—oto następstwo egoizmu zarazem najboleśniej weń godzące. Czyż jest wiele cięższych chorób od hypochondryi? Jeżeli ona wprost nie skraca życia, to czyni je w każdym razie niewymownie przykrem i ciężkiem. Hypochondrya ogranicza w wysokim stopniu sprawność narządów, a nierzadko przez nadmierne i bezkrytyczne uciekanie się do nieracyonalnych metod leczniczych lub przez wyszukane, przesadną ostrożnością podyktowane zabiegi hygieniczne i za daleko posunięte ograniczenia, osłabia odporność ustroju i wpływa nawet ujemnie na trwałość życia. Trzeba być lekarzem, zwłaszcza neurologiem, aby módz ocenić całą nędzę istnienia hypochondryka i przerażającą liczebność tych nieszczęśliwych, czego wszakże główną przyczyną jest zbyt rozpowszechniony przesadny egoizm, który z natury rzeczy jest najenergiczniejszym wrogiem ideału dobra.

Obok tak rozpowszechnionej hypochondryi widnieje najczęściej z niepohamowanem samolubstwem w parze idąca hysterya. Choroba ta, mniej polegająca na złudzeniu cierpienia i na srogiem cierpieniu obawy, stwarza za to cały szereg ciężkich dolegliwości, powodując dotkliwe bóle, trapiące bezwłady, dręczące drgawki, wymioty, biegunki, paraliżujące życie towarzyskie głośne czkawki, uporczywe kaszlo, przechodzące czasem niemal w dźwięk szczekania, wyczerpującą bezsenność lub obezwładniającą śpiączkę itd. Cechą hysteryi jest również wybujały egoizm, zaprzątanie się zbyt wyłączne sprawami swojego „ja," dochodzące nieraz do potwornych rozmiarów znęcania się nad bliźnimi, do lubowania się w pastwieniu nad tymi, dla których największy mamy obowiązek miłości i litości. Chociaż hysterya, jako choroba odziedziczona lub nabyta, sama do takiej wybujałości samolubstwa się przyczynia, niemniej, jak to wielokrotnie miałem sposobność spostrzegać, odziedziczony, a przez wychowanie nie hamowany, owszem, często nieodziedziczony, ale przez wychowanie wadliwe wytworzony przesadny egoizm doprowadza do rozwinięcia się hysteryi. Jestem najmocniej przekonany, że w bardzo wielu przypadkach widoczne skłonności tego rodzaju dałyby się zupełnie znieść, gdyby obok właściwej hygieny fizycznej stosowano pilnie moralną, któraby usiłowała zwalczać popędy egoizmu, a wzmacniać altruistyczne i rozwijać umiejętnie upodobania w urzeczywistnianiu ideału dobra.

Do wzruszeń bujnie wyrastających na glebie egoizmu, które wprawdzie nie wywołują charakterystycznych form chorobowych, ale powodować mogą różne i niebezpieczne choroby, należą: zawiść i zazdrość. Popularnie mówi się i bardzo słusznie, że zawiść psuje krew. Bezwątpienia, pozbawia ona nas łaknienia i snu, dwu najważniejszych warunków zdrowia; a źródłem jej jest wybujały egoizm, który nie znosi, aby komukolwiek po za nim działo się dobrze, któremu powodzenie bliźniego sprawia poprostu ból. Ludzie zawistni a inteligentni posiadają samowiedzę moralnej swej choroby, czują sami złe spływające na nich z tej ich ułomności, której zwalczyć nie są w stanie, dopóki nie pokonają w sobie hydry egoizmu. Walka z tym ostatnim, jakkolwiek niełatwa, prędzej jednak doprowadzić może do zwycięztwa. Wychowanie w tym kierunku ma bardzo doniosłe i wdzięczne zadanie. Znałem osobniki obarczone w wysokim stopniu wadą zawiści, żyjące w warunkach, które dostarczały temu uczuciu obfitego pokarmu, jak literalnie podlegały gruźlicy płuc wskutek stopniowo podupadającej odporności ustroju, dzięki nieustającemu gryzieniu się w męczarniach zawiści. Widziałem uleganie zakażeniu tyfusowemu pod niewątpliwym wpływem ostrego, silnego podrażnienia tego uczucia. Bardzo często widywałem tegoż samego pochodzenia wybuchy ciężkich neurastenij i psychoz, zakończonych samobójstwem. Wielkie cierpienie zazdrości zamienia się na piekło udręczeń tem łatwiej, im podkład moralny człowieka bardziej tchnie samolubstwem. Wogóle każdy wielki cios moralny w tem życiu tem pewniej popchnie nas w bezbrzeżną otchłań rozpaczy bez wyjścia, im droższe nam są interesy naszego „ja," a obojętniejsze interesy bliźnich, dla których choćby tylko samo istnienie nasze, jeśli już nie troska lub opieka jest warunkiem ich szczęścia.

Nie będziemy mnożyli wykazu wzruszeń ujemnych, których źródłem jest przesadny egoizm, powstających np. pod wpływem obrażonej ambicyi, zawodu, chciwości itd.; zwrócimy się natomiast do tych, których źródłem jest altruizm. Ideał dobra spełnia się przez rozwinięte uczucie miłości, sterowane jednak koniecznie wskazówkami rozumu. Stosownie do rozmaitych charakterów tego uczucia, rozmaite też są kategorye czynów dobrych. Najpierwszą formą miłości, najpotężniejszą bezwątpienia, bo najbliższą pierwotnym, odziedziczonym instynktom, ale niestojącą bynajmniej na wyżynie najpodnioślejszych ludzkich uczuć, jest miłość rodzinna. Stanowi ona wysoce uszlachetniony instynkt i źródło pięknych wzruszeń, oraz podniosłych poświęceń. Wzruszenia stąd płynące napawają nas rozkoszą, dodają życiu dzielności i energii, zwiększają odporność ustroju. Zagraża wszakże uczuciu temu łatwo przerodzenie się w egoizm rodzinny, który pociąga za sobą wszystkie ujemne następstwa, właściwe samolubstwu osobowemu. Zdarza się to tam zwłaszcza, gdzie kręgowi uczuć rodzinnych braknie dobroczynnego ciśnienia atmosfery wyższej, mianowicie miłości społeczeństwa. Zakaża go wtedy chorobliwa tkliwość, zamieniająca się na hypochondryę rodzinną, która zatruwa poprostu życie jej członkom nieustającą troską i obawą przesadną o swe zdrowie i powodzenie. Spotkać można nierzadko ludzi bardzo niedobrych dla bliźnich swoich, nagany godnych obywateli kraju, słowem egoistów w najgorszym gatunku a przytem najlepszych ojców rodziny lub wogóle najtkliwszych jej współczłonków. Czynić dobrze dla swoich najbliższych czują oni instynktową potrzebę: dzielą wszakże ludzkość tylko na dwie nierówne części, mianowicie na swoją rodzinę i... resztę. Pierwszej interesów bronić, drugą o ile można na korzyść pierwszej wyzyskiwać należy. Oto niezdrowy, błędny ideał dobra, pociąga bowiem za sobą wszystkie klęski najzwyklejszego wybujałego egoizmu osobniczego.

Przed miłością kraju rodzinnego, przed miłością ludzkości całej, tj. przed uczuciami wymagającemi pewnego wyższego stopnia rozwoju samowiedzy, idzie prosta, nieskomplikowana, dla każdego przystępna, a w prostocie swej nad wyraz wzniosła miłość bliźniego. Uczucie to jest najżyźniejszą glebą dla czynów urzeczywistniających ideał dobra, nieprzebranym źródłem niewymownych swym urokiem rozkoszy duchowych, które krzepią ciało i przedłużają życie. Nawet ze stanowiska fizyologicznego, nie wolno zapominać, że w ustroju ludzkim czynności duchowe zajmują olbrzymią część funkcyj życiowych wogóle, a narządem pierwszych są nietylko zwoje kory mózgowej, ale organizacya całego układu nerwowego wraz z mechanizmem naczynioruchowym i pozostającym w ścisłej spójni z tym ostatnim, układem naczyniowym i jego ośrodkiem — sercem. Czynności duchowe, jak nadmieniliśmy, potężny wywierają wpływ na sprawy odżywcze ustroju; czynności ducha dodatnie z punktu widzenia moralnego, stanowią najpomyślniejsze właśnie warunki właściwego biegu tych spraw. Jeżeli tedy istotnie w spełnianiu szlachetnych popędów miłości bliźniego zdarzyć się może potrzeba poświęceń jakoby fizyologicznych konieczności naszego ustroju, np. uszczuplenia snu, pokarmu, wypoczynku, wygód fizycznych itp. nie ulega wątpliwości, że wynagradza z nadmiarem te uszczerbki dodatni wpływ zadowolenia moralnego. Wszystko mieć musi swoją miarę. Zdarza się też bezwątpienia, że ubytki wynikające z poświęceń altruistycznych stają się pozytywnemi i wyrównać się już nie mogą. Ale szkody te, grożące nam ze spełniania czynów miłości bliźniego, są minimalnemi w porównaniu z rzeczywistą korzyścią, jaką z nich odnosimy. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę względność pojęcia szczęścia, to zachodzi pytanie, czy owe uszczerbki, przyczyniane nam przez wielkie czyny miłości, nie dają nam ogromu szczęścia.

Dr. H. Nusbaum.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Rozsadniki chorób.

Dotąd patrzyliśmy na przytułki noclegowe jako na zakłady dobroczynne, łagodzące niedolę nędzarzów. Ale obecnie zwróciły się one ku nam inną i to bardzo niebezpieczną stroną. Dr. Szwajcer w sprawozdaniu swojem za marzec z ruchu chorych w szpitalu zapasowym *(Medycyna)* kilkakrotnie zaznacza, że wielu pacyentów przybywało z tych przytułków i że zwłaszcza Pragski stał się gniazdem tyfusu wysypkowego. Rzecz naturalna, że fakt ten nie przemawia przeciw użytkowi podobnych schronisk, ale wykazuje potrzebę utrzymywania ich w większej czystości. Co rano, gdy one się opró-

źnią, musi być dokonywana bardzo staranna dezinfekcya sal i sprzętów, w przeciwnym razie biedacy wpadać będą ciągle z deszczu pod rynnę: otrzymają noclegi, ale wyjdą z nich dotknięci ciężkiemi chorobami. I nietylko oni na tem ucierpią, bo zaraza, mając swoje stałe ognisko i ogarniając coraz szersze kręgi ludności, rozpowszechniać się będzie po całem mieście i wyrządzać jego zdrowiu ogromne szkody. Trzeba o tem pomyśleć bardzo wcześnie i pamiętać ciągle. Pomnoży to koszt utrzymania przytułków, ale nada im istotną wartość i odejmie niebezpieczeństwo rozsadników chorób zakaźnych. Dr. Sz. dodaje, że obok schroniska na Pradze objawia już swój zły wpływ drugie przy ulicy Bonifraterskiej. Z kilku stron atakowana w ten sposób Warszawa może płacić zbyt wielki haracz śmiertelności.

Kółka przyjaciół zdrowia.

Nadmiar lekarzy w Warszawie i utrudnione warunki ich bytu rodzą pomysły, które zbyt wyraźnie zdradzają chęć ratowania się od przymusowego bezrobocia i niedostatku, ale słabo uwzględniają interesy ogółu. Z takim projektem wystąpił w *Kronice lekarskiej* dr. S. Bartoszewicz, żądając: ażeby w miastach tworzono „kółka przyjaciół zdrowia" (po 150 do 300 członków), które wybierałyby sobie stałych lekarzy, rozciągających opiekę nad ich zdrowiem i w razie potrzeby posiłkujących się radą również stałych konsultantów-specyalistów. Ma to usunąć złe skutki „wolnej konkurencyi." Przedewszystkiem zauważyć należy, że — jakkolwiek niezorganizowane i niezwiązane ściśle uregulowanymi stosunkami — kółka takie faktycznie istnieją. We wszystkich miastach bez uprzedniego porozumienia się pewne grupy ludzi zwracają się w wypadkach zwykłych do pewnych lekarzy, do których posiadają zaufanie, a w nadzwyczajnych wzywają na konsylia specyalistów. W zasadzie więc projekt dr. B. niczego nie zmienia. Jeżeli zaś chodzi mu o to, ażeby uniemożliwić zbyt liczne skupianie się pacyentów około jednych lekarzy i o dostarczanie praktyki innym zapomocą odpowiednich ograniczeń, to na taki podział i zrównoważenie ogół się nie zgodzi. On zawsze będzie bardziej ciążył do pp. A. B. [illegible] a odsuwał się od pp. T. U. W., bo dla niego jest sprawą zupełnie obojętną, czy ci panowie mają należycie wymierzone zajęcia i dochody, a bardzo ważną, który z nich da skuteczniejszą pomoc. Nie przeczymy, że bardzo często blagier i nieuk używa wielkiej sławy, a dzielny lekarz nie ma pacyentów, ale ta niesprawiedliwość dzieje się wszędzie. Projekt dr. B. nie zniósłby nawet owej tak przez niego osądzonej „wolnej konkurencyi," bo cóż by on przeciw temu poradził, gdyby np. wszystkie kółka oddały swe głosy jednemu lub trzem lekarzom? Czy by im zabronił tego i kazał zwrócić się do innych? Tego żadne prawo nie dopuści, a zwyczaj nie uzna. W taki sposób można podzielić równomiernie sprzedaż nafty, cukru, płótna, ale nie korzystanie z porady lekarskiej.

Chwalebna cierpliwość.

Jednym z najdokuczliwszych niedostatków naszego ogrodnictwa, powstrzymującym jego rozwój zwłaszcza w kierunku sadowniczym, jest zupełny chaos mniemań co do wartości odmian owoców dla naszego kraju, brak t. zw. „doboru normalnego," któryby wskazał ludziom, jakie gatunki mają hodować z największym pożytkiem i powodzeniem. Istnieje taki wykaz złepiony doraźnie przed kilkunastu laty, ale posiada on zaledwie wartość tymczasowej improwizacyi. Dzięki temu brakowi, który już dawno obciąża nasze sumienie i stanowi dowód wielkiego niedbalstwa, właściciele szkółek hodują mnóstwo odmian, w znacznej części bezużytecznych, więksi i mniejsi posiadacze ziemi zakładają sady, nie mając żadnej rękojmi co do ich żywotności i płodności, chłopi sadzą w ogródkach jabłonki i gruszki, które tylko w ciepłym klimacie i w warunkach szczególnego starania mogą rodzić owoce itd. Słowem zamęt, ślepa gra, niewiadomość, a w rezultacie dotkliwe straty, od których ubezpieczono się za granicą. Nareszcie po długich wahaniach, rozmyślaniach, przygotowaniach postanowiono jesienią r. b. urządzić w Warszawie zjazd owocoznawców, któryby się zajął ułożeniem „doboru normalnego." I oto p. E. Jankowski zawiadamia w *Ogrodniku Polskim*, że Towarzystwo postanowiło odroczyć ten wiec na rok dlatego, że w jesieni r. b. odbędzie się zjazd ogrodniczy w Petersburgu, a w Warszawie jarmark owocowy. Do tych dwu dziwnych przeszkód, które raczej uważaćby można za okoliczności sprzyjające, p. J. dołącza następującą, niezmiernie wesołą pociechę: „W zjeździe tegorocznym, według wszelkich przypuszczeń (?), przyjęłoby udział niewielu znawców, dostatecznie z owocami obznajmionych. Tymczasem przez ten rok i następny, wiedząc tak wcześnie, że zjazd się odbędzie w październiku 1900 r., niejeden ogrodnik zwróci pilniejszą uwagę na odmiany pierwszym doborem objęte, niejeden miłośnik owoców będzie mógł przygotować się, by w zjeździe czynny przyjąć udział." Gdyby te słowa napisał reporter dziennikarski — nie zdziwilibyśmy się; ale że one wyszły z pod pióra pomologa, można być zdumionym. Więc p. J. mniema, że obserwacye półtoraroczne napłodzą znawców i przygotują biegłych do orzeczenia, jakie odmiany są dla naszego kraju właściwe? Na nieszczęście odpowiada to częstym, a zbyt pochopnym wyrokom redakcyi *Ogrodnika*, która z roku na rok (czasem wprost przeciwnie) rozcina powikłane węzły ogrodnictwa, ale wobec rozumu jest to lekkomyślna frazeologia. Kto nie może dziś zabierać głosu w kwestyi doboru pomologicznego, nie będzie o wiele mądrzejszym za 1½ roku. Niestety zagadnienia hodowli są przedmiotem dość obojętnym dla Towarzystwa ogrodniczego i jego rzeczników, którym głównie chodzi o handel — taryfy, targi, stragany, opakowania, skrzynki, ceny, jarmarki, ale nie o to, co i jak ma być hodowane. Dotychczas handluje Towarzystwo, handluje jego organ, handlują członkowie zarządu, a na zjazd owocoznawców czasu znaleźć nie mogą i dopiero chcą dla niego wykształcić uczestników. Zabawny — jarmark interesów i zabawna — wystawa „starań o rozwój ogrodnictwa krajowego"!

STANISŁAW KIERBEDŹ.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 19 b. m. w Warszawie zakończył życie człowiek, którego społeczeństwo znało i ceniło przeszło od lat 60. Jako wybitny, niepospolicie zdolny inżenier, zdobył on sobie uznanie nietylko u nas i w Petersburgu, lecz nawet zagranicą (w Belgii i Francyi). Urodzony r. 1810 w majątku dziedzicznym Nowy Dwór pow. Poniewieskim gub. Kowieńskiej, skończył szkołę klasyczną w Kownie (r. 1825), poczem wstąpił na wydział matematyczny w uniwersytecie wileńskim, w którym wszedł w ściśle stosunki z Tomaszem Zanem, Adamem Mickiewiczem i innymi. Po skończeniu uniwersytetu w 18 roku życia, dostał się do instytutu komunikacyi w Petersburgu, który skończył świetnie r. 1831 i został w nim repetytorem. Wykładał arytmetykę, potem budownictwo. Jednocześnie w wyższej szkole oficerskiej prowadził wykłady z działu mechaniki stosowanej. W r. 1837 został pomocnikiem profesora budownictwa i mechaniki stosowanej w instytucie komunikacyi. Nie poprzestając na wiedzy już zdobytej, pojechał na koszt rządu za granicę, w Paryżu słuchał kursów w *Ecole des ponts et chausses* (w dziale mechaniki i budownictwa). Następnie dla uzupełnienia studyów udał się do Anglii. Po powrocie do Petersburga objął liczne obowiązki profesorskie. Wykładał w instytucie komunikacyi, w górniczym, w uniwersytecie, szkole głównej inżenierów polowych i w korpusie oficerów marynarki. Jednocześnie, jako członek komitetu, zajmował się budową kościoła św. Stanisława w Petersburgu. W r. 1842 Cesarz Mikołaj I powierzył mu budowę mostu przez Newę. W r. 1847 Kierbedź porzucił swój zawód profesorski i oddał się wyłącznie praktycznej pracy zawodowej. Po skończeniu mostu na Newie (r. 1850) Cesarz mianował znakomitego inżeniera generałem, a Akademia nauk wybrała go na członka-korespondenta oddziału fizyki i matematyki. Potem wszelkie najważniejsze zadania, czy to budowę mostów, czy kolei, czy układy o nie z zagranicą, powierzano Kierbedziowi. W r. 1861 został on naczelnikiem okręgu komunikacyi lądowych i wodnych w Królestwie Polskiem i był na tem stanowisku trzy lata. Wtedy to zarząd okręgu przekształcono na odrębny zarząd komunikacyi w Królestwie, oraz przyłączono do niego kontrolę administracyjną i techniczną kolei całego kraju. Zajmując tak wybitne stanowisko, Kierbedź zasiadł w radzie administracyjnej Królestwa Polskiego i radzie stanu. W r. 1863 odwołany do Petersburga, został członkiem rady ministeryum komunikacyi. W r. 1884 objął stanowisko prezesa wydziału administracyi rady ministeryum komunikacyi, a r. 1886 i 1887 zastępował ministra komunikacyi i jego pomocnika. W Warszawie pozostawił trwałą i piękną pamiątkę — most żelazny na Wiśle. Obok wielkich zasług na polu techniki inżenierskiej, którą w praktyce posunął naprzód ogromnie, Kierbedź zyskał jeszcze sobie powszechny szacunek, jako człowiek prawy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

BADANIA NAD MICKIEWICZEM.

II.

W. Gostomski: *Arcydzieło poezyi polskiej A. Mickiewicza „Pan Tadeusz."* Warszawa, 1898.

W szeregu badań o „Panu Tadeuszu" dzieło p. Gostomskiego jest najobszerniejsze po pracy dr. Biegeleisena. Nietylko ze względu na wyczerpujące traktowanie przedmiotu obie wymienione monografie dadzą się ustawić obok siebie: istnieje między nimi ściślejszy łącznik. Czytając pierwszą z nich, niejednokrotnie doznajemy wrażenia, jakby wyłącznym celem autora była chęć obalenia wniosków swego poprzednika. Zamiar polemiczny obniża w pewnej mierze samodzielność stanowiska p. Gostomskiego; jest ono wszakże poniekąd uprawnione. Ostatecznie autorowi chodzi nie o szczegółowe wywody p. Biegeleisena, lecz o punkt wyjścia tych badaczów, którzy oceniając literackie znaczenie „Pana Tadeusza," mają wciąż w pamięci *Iliadę* i *Odysseę*, jako wzory niedościgłej a jedynej po wsze czasy doskonałości. Dla jednych „Pan Tadeusz" to epopeja, bo zbliża się do arcydzieł Homera, dla innych znowu (w tej liczbie dla dr.

Bieg.) jest to tylko „powieść szlachecka,“ albowiem niejeden szczegół całkiem odmiennie wygląda u Mickiewicza, aniżeli tego wymaga nieruchomy kanon piękna, złożony w dziełach, opiewających gniew Achillesa i przygody męża Penelopy. Jeżeli obierzemy historyczny punkt widzenia, oczywiście żadne dzieło nowożytne nie może iść w porównanie z epopejami klasycznemi. „Zestawiać „Pana Tadeusza“ — powiada dr. Chmielowski — i porównywać z epopejami greckiemi w celu umniejszenia go w jednym rzędzie z nimi, jest dowolnością krytyczną, niemającą głębszego uzasadnienia. „Pan Tadeusz“ powstał niewątpliwie pod działaniem epopei greckich i już przez to samo, jako utwór późniejszy, nie może mieć tego olbrzymiego znaczenia literackiego, co one. A powtóre, uznanie dla „Pana Tadeusza,“ jako dla epopei pierwszej po Homerze, wtedy jedynie moglibyśmy uzyskać, gdyby nasz naród miał takie znaczenie w dziejach cywilizacyi, jak Hellenowie, gdyby odebrał pierwszeństwo w oświacie Francuzom, Anglikom i Niemcom.“ Sądzę, że i w tym ostatnim wypadku „Pan Tadeusz“ donioslością swego wpływu nie mógłby się mierzyć z dziełami homerycznego piewcy, jeżeli prawda, że są one najdoskonalszym i najzupełniejszym wyrazem ducha greckiego. Żaden naród nie może obecnie zdobyć dla siebie wyjątkowego stanowiska cywilizacyjnego — a niegdyś prąd rozwoju ludzkości płynął wązkiem łożyskiem i skupiał się cały w duchowem życiu Hellenów...

Lecz badacze, z którymi p. G. kruszy kopiję, pomijają podobne względy: wynoszą oni pod niebiosa „Pana Tadeusza“ za ściśle przedmiotowy sposób traktowania stosunków i charakterów w poemacie, lub przeciwnie biadają, iż muza epiczna zemściła się na Mickiewiczu za nieuszanowanie powagi piękna epickiego. I sposób opowiadania nie jest spokojny, i dyalog dramatyczny itd., cała litania mniejszych lub większych grzechów. Gdy się czyta takie rzeczy, przypomina się ironiczne wyrażenie Taine'a, iż wielu znawców, zamiast oddać się bezpośredniemu acz „nieprawidłowo“ wywołanemu wrażeniu, woli uczenie poziewać przed arkadą, zbudowaną według wszelkich zasad Witruwiusza. Od Homera dzielą nas tysiącolecia rozwoju, który przecież jałowym całkiem nie był. Zmieniały się i stały się coraz bardziej złożonemi formy bytowania ludzkiego, rozwinęły się i wysubtelniły nasze uczucia... Nawet zmysły nasze osiągnęły wyższy stopień doskonałości, jeśli prawdą jest, że oko Greka, współczesnego Homerowi, nie dostrzegało takiej rozmaitości barw i odcieni, jaką dla nas roztacza przyroda. Z tej lub innej przyczyny zdolność postrzegania stała się czulszą, wrażliwość nasza żywszą. To też i środki ekspresyi poetyckiej nie mogły same tylko pozostać nieruchomymi, musiały dotrzymywać kroku ogólnemu rozwojowi ludzkości... Więc technika różna od Homerowskiej nie koniecznie jest przez to samo niższą, może często bywa nawet wyższą i doskonalszą. Dodajmy, iż teoryc, z których wysokości chwali się lub gani „Pana Tadeusza,“ są pojęte nieraz zbyt wyłącznie i jednostronnie. W poemacie swym Mickiewicz częstokroć zastąpił spokojny opis czynności lub osoby wrażeniem, sprawionem przez tę czynność, osobę lub zjawisko. Postępowanie takie nie jest epickie... a przecież chyba uprawnione, jeżeli starcy trojańscy, olśnieni pięknością Heleny, milkną za jej zbliżeniem się.

O krajobrazy — nowy proces. Bo piękne są one, ani słowa, ale... tu romantyczny koloryt przeciwny jest „epickiemu stylowi, epickiej plastyczności i kompozycyi“: gdzieindziej opis nie posuwa akcyi itd. Nie miał takich skrupułów p. G. i dlatego dał nam piękną analizę obrazów przyrody w „Panu Tadeuszu.“ Możnaby ją uzupełnić i rozwinąć... Autor np. kładzie nacisk na tę okoliczność, że poeta w swych krajobrazach obiera pewien zasadniczy rys, dokoła którego skupiają się podrzędne; że „wszelkie opisy Mickiewicza są zawsze odniesione do określonego punktu widzenia lub do szeregu możliwych i naturalnych stanowisk znajdującego się w ruchu obserwatora.“ Zapewne. Atoli w opisach Mickiewicza występują najczęściej krajobrazy, widziane z lotu ptaka, zjawiska atmosferyczne lub takie, których widownią jest sklepienie niebieskie. Określony punkt widzenia, rys główny obok pomniejszych, mają wówczas podrzędniejsze znaczenie. Wybitniejszą wtedy w technice widoków gra rolę umiejętność poddania czytelnikowi pewnego wrażenia, czy wyobrażenia jakimś rysem czy skupieniem rysów, i nie dlatego, że one są charakterystyczne lub przeważające, lecz że drogą skojarzeń muszą wywołać pewien obraz, uczucie, nastrój. Dość nadmienić o oczekiwaniu burzy, które się udziela nietylko ludziom i zwierzętom, lecz i martwej przyrodzie; pamiętamy również ów ranek wilgotny, kiedy dźwięk piosnki „w mgłę bez echa wsiąka...“ Słuszny jest niewątpliwie pogląd, że przyroda w „Panu Tadeuszu“ nie jest sztucznie przystrojoną, że „kto ma zdrowe oczy, dostrzeże i zieloność łąk, i lesistość pagórków,“ że od tych obrazów „wieje świeże tchnienie przyrody“ i że „wrażenie to płynie nie tyle z samych zarysów obrazu, ile przenikającego go nastroju poety...“ Tak, z pewnością. Lecz jakież to tchnienie i jaki nastrój? Jest to tęsknota, którą nieraz czujemy wspól z poetą, lecz i samoistnie także...“ Kto miał to szczęście, iż w zaraniu życia pochylało się nad nim sklepienie niebieskie, niepocięte w paski długimi szeregami domów, komu głęboko w duszę zapadły obrazy rozległych pól, „malowanych zbożem rozmaitem“ i przetykanych wstęgami miedz, kto wciągał w pierś swą proste aromaty skoszonego siana lub wilgotny zapach wystruganej przy stertach ziemi, ten w wieku dojrzalszym ma po za sobą utracony kraj sielskiego dzieciństwa — choćby nie był Litwinem i nie siedział w Paryżu,.. Mickiewicz ma władzę ukazywania nam tego kraju.

Potrąciwszy o krajobrazy, odbiegliśmy nieco od polemiki, którą p. G. toczy z „klasycznemi“ wyobrażeniami. Staraliśmy się zaznaczyć stanowisko autora: niepodobna nam wszakże podzielać jego złudzenia, iż wnioski jego są bezwzględnie nowe lub punkt wyjścia całkiem oryginalny. Często p. G. za mało, zdaje się, pamięta o pracach poprzedników. Jeżeli chodzi np. o protest przeciw ciasnej formule epopei, która wobec „Pana Tadeusza“ staje się nieraz łożem Prokrusta, bardzo wymownie uzasadnił go przed kilkunastu laty Bełcikowski w swych „Kilku myślach o Panu Tadeuszu.“ A gdyby autor uwzględnił jego twierdzenie, że właściwy bohater poematu jest nieosobisty, mniejby się może troszczył o to, iż „wada kompozycyi polega na tem, że jedność idealna osnowy nie zawsze się ujawnia w realnej jedności akcyi i głównego bohatera.“ Walcząc ze „szkolną“ estetyką, p. G. nie zawsze umie wyjść z koła jej pojęć.

A. Drogoszewski.

UTWORY KONKURSOWE NA SCENIE KRAKOWSKIEJ.

I.

Kraków, 20 kwietnia.

Jan Kisielewski: *Karykatury*, *W sieci*.

Teatr krakowski, który co tydzień prawie darzy nas nową sztuką, czerpał w ostatnich czasach swój repertuar wyłącznie z plonu konkursów dramatycznych, których mieliśmy aż cztery. Lwowskie turnieje nie przyniosły wcale dodatnich wyników. Odznaczone utwory upadły, a o autorów nawet nikt nie pytał. Z warszawskich za to wypłynęli dwaj pisarze, których kolebką jest Galicya, a którym, o ile można wnosić z pierwszych występów, wróżyć można dobrą przyszłość.

Zostawiając sprawozdanie z odznaczonego pierwszą nagrodą na konkursie Paderewskiego dramatu Lucyana Rydla p. t. „Zaczarowane koło,“ aż do wystawienia 15 b. m. w teatrze krakowskim, chcę zapoznać dzisiaj czytelników *Prawdy* z dwoma dramatami J. A. Kisielewskiego, z których pierwszy „W sieci“ dostał zaszczytną wzmiankę na konkursie dramatycznym *Kuryera Warszawskiego*, a drugi: „Karykatury,“ otrzymał trzecią nagrodę z konkursu Paderowskiego.

Obie te sztuki wystawione były w Krakowie, a pomimo że, jak wszystkie poważne dzieła dramatyczne, nie „robiły kasy,“ zwróciły jednak uwagę znawców oraz wszystkich ludzi inteligentnych na młodego autora, jako na bardzo wybitny i niezwykły talent.

Zacznę od „studyum scenicznego“ „Karykatury,“ które, chociaż później nagrodzone i wystawione, jest pierwszem dziełem scenicznem autora.

Na bujne tło życia studenckiego, kipiące namiętnością fanatycznych wierzeń i rozbujałej wyobraźni, rzuca on duchowy dramat dwojga ludzi, z których jedno kocha szczerze i zapamiętale, drugie zaś targa się w więzach, jakie mu narzuciła chwila zapomnienia i szału.

Po podniesieniu kurtyny widzimy pokój studencki, w którym właśnie toczy się ożywiona dysputa na temat sztuki i kobiety. Spór musi trwać już dawno, bo koledzy są bardzo podnieceni, a ze stanowiska, jakie każdy z nich zajmuje, w kilku zdaniach zarysowywują się bardzo wyraźnie indywidualne typy najróżnorodniejszych temperamentów i charakterów. Ta pierwsza scena zbiorowa jest zdaniem mojem jedną z najlepszych w utworze, niestety jednak jest bardzo trudną do grania i w teatrze wcale nie wyszła.

W czytaniu podziwiać wprost należy, jak w krótkiej stosunkowo rozmowie przesuwa się przed nami cały szereg postaci, narysowanych szkicowo a tak wyraźnych i przejrzystych, że przeglądamy je odrazu nawskroś. Na dwóch przeciwległych biegunach stoją: zapamiętały radykał, odnoszący wszystko do „państwa przyszłości“ i przeczący wszystkiemu, co nie da się poprzeć powagą uczonego badacza lub dowieść doświadczalnie i flegmatyczny przyrodnik czy matematyk. Między tymi grono młodych chłopaków, przeważnie zwolenników modernizmu, nastrojów i czarnej kawy, kandydatów na „nadludzi.“ Najwyższe prawo do nadczłowieczeństwa, zarówno w pojęciu kolegów, jak i swojem własnem, ma gospodarz mieszkania, Antoni Relski, początkujący literat. Wpada on między kolegów podniecony, rozentuzyazmowany, a z jego wierzeń dowiadujemy się, że gardził dotąd kobietą i miłością, ale nagle rozgorzał do pięknej dziewczyny o złotych lokach, którą przygotowywa do egzaminu. W piersiach jego harfa drzemała bezczynna, teraz zadźwięczała i oto wezbrało w nim ogromne poczucie siły. Radykał korzysta z tego, żeby skłonić kolegę Relskiego do przyjęcia prezesury w stowarzyszeniu akademickiem. Ale kandydat na nadczłowieka nie przyjmuje żadnych obowiązków, ponieważ one nakładają pęta, a on pęt nie znosi.

W pół godziny później spadają jednak na niego więzy niespodziewane. Trąbka pożarna wywołuje wszystkich kolegów na miasto, a do Relskiego wpada zdyszana, zmęczona śmiertelnie, dawna jego znajoma — Zosia szwaczka. Antoś stał u jej matki przez kilka lat na stancyi i dziew-

czynka rozkochała się w nim bez jego wiedzy. To też kiedy, uciekłszy od ojczyma, który pastwił się nad nią, nie chciała powrócić do domu, po parodniowem błąkaniu się o głodzie przypomniała sobie dawnego przyjaciela i przyszła do niego po ratunek. Relski pokrzepia wyczerpaną dziewczynę koniakiem i dobrem słowem, a kiedy ona mówi mu o swoich nieszczęściach i spowiada się naiwnie ze swoich uczuć, szał ogarnia oboje i... kurtyna zapada.

Po roku zupełnego zniknięcia Relskiego koledzy odnajdują go w brudnej, zaniedbanej izbie, gdzie mieszka razem z Zosią, która kołysze niemowlę. Przyjmuje ona ich swobodnie — on z wielkim przymusem. Koledzy wyrażają zdumienie i współczucie, chęć ratunku towarzysza, strasznie zmienionego długą męką w dusznej atmosferze, jaką stworzyła koło niego dobra i kochająca, ale pospolita dziewczyna. Z drugiej strony zjawia się matka Zosi, która, owdowiawszy, chce ją zabrać do siebie z dzieckiem, a nawet przyprowadza jej konkurenta w osobie zawadyackiego i szorstkiego, ale sympatycznego i poczciwego „towarzysza" Migdała.

Relski oświadcza kolegom, że Zosię uważa za żonę, a ona wyrzuca konkurenta wraz z matką, bo w zaślepieniu swojej miłości wierzy, że Antoś ją kocha i poślubi. On jednak ma inny ideał. Jest to ta złotowłosa panna, która przed rokiem zbudziła drzemiącą w jego piersi harfę. Poznajemy ją w trzecim akcie, w domu jej rodziców, osiadłych ze wsi w mieście, których dzieci rzucone na bujną niwę po jałowym gruncie domowego ogniska zaczynają bujać w niezdrowy trochę sposób. Jedynak Ignaś uprawia w klasie piątej politykę antisemicką, wdówka Loreia daje się porywać „nowym prądom," aby, według wyrażenia brata, znaleźć jak Scylla swojego Charybdasa. Najsympatyczniejsza Stefa marzy o wyższem wykształceniu, przygotowywa się do egzaminu, jest, według zapewnienia ojca, „wielką emancypantką," ale przedewszystkiem kocha się na zabój w swoim korepetytorze. Wyznaje mu swoją miłość, a kiedy on po wybuchu czułości przypomina sobie nagle o swoich obowiązkach i ucieka, ona wysyła za nim ojca, który, mimo że za długo siaduje na komitetach i zwykle dopiero nad ranem powraca bardzo podniecony, kocha ogromnie swoje dzieci i zdolny jest do wszelkiej dla nich ofiary.

Akt czwarty jest prawie bez zarzutu i ogromne sprawia wrażenie. Wprowadza on nas znowu do mieszkania młodej pary. Zosia śpi na ziemi, oparłszy głowę o kołyskę. Jęczy cicho przez sen. Wchodzi Antoś, złamany walką, jaką stoczył z sobą przed chwilą, wyrywając się z objęć Stefy. Zosia budzi się i opowiada, że miała straszny sen — dręczą ją złe przeczucia; wreszcie z wybuchem czułości rzuca się na szyję Relskiego, zapewniając go o swojej miłości i żądając odwzajemniania jej. Ale to jest więcej, niż naprężone nerwy Antosia znieść mogą. Nie ma siły odtrącić jej stanowczo, bo rozbraja go jej ślepa miłość i słodycz taka nieprzebrana, taka cicha i łagodna, że staje się niezwalczoną bronią. Przyrzeka, że weźmie z nią ślub, ale zaraz po tem palnie sobie w łeb, bo dłużej żyć z nią nie potrafi. Zosia pojmuje nareszcie, że nie jest kochaną i z nagłą rezygnacyą mówi: „To ja wrócę do mamy."

Na to wchodzi ojciec Stefy, aby sprowadzić Antosia, którego ucieczkę przypisuje złym warunkom materyalnym. Światła niema, więc rozmawiają po ciemku, ale kiedy na wieść o miłości między Antosiem i Stefą Zosia wydaje krzyk rozpaczy, gość odnajduje zapałki, zapala świecę, a zobaczywszy młodą kobietę i dziecko, cofa się zmieszany, szepcząc: przepraszam, bardzo przepraszam. Nagle wzbiera w nim żal nad krzywdą, jaka się stała jego ukochanej córce i w uniesieniu gniewu rzuca Relskiemu w twarz zniewagę! Antoś porywa krzesło i krzyczy: Kołtunie precz! — a kiedy stary wychodzi, szepcze: „On powiedział mi podły, a ja nie dałem mu w twarz."

Ta myśl pochłania go tak całkowicie, że kiedy Zosia z wybuchem zazdrości przeklina go, a potem, porwawszy dziecko, żegna słowami: „Dziecko jest moje, zresztą wszystko jest panowe" i wychodzi, on ciągle myśli tylko o doznanej obeldze i powtarza: „On powiedział mi podły, a ja nie dałem mu w twarz."

W tej chwili budzi się w Relskim „nadczłowiek," który odrzuciwszy wszelkie poczucie obowiązku, nie widzi i nie uznaje nic, oprócz swojego ja.

„Karykatury" mają wiele wad, wynikających zapewne z nieopanowania techniki przez młodego autora. Akcyi brak jednolitości, efekty jaskrawie komiczne, prawie trywialne spotykają się często z bardzo głęboko odczutymi momentami dramatycznymi, co bardzo nieprzyjemny stanowi kontrast; niektórym charakterom brak pogłębienia. Całość jednak wywiera ogromne wrażenie — i mimo wszystkich usterek zajmie na pewno bardzo wybitne miejsce w polskiej dramaturgii.

O całe niebo wyżej pod względem wartości artystycznej stoi dramat: „W sieci." Jedyną wadą tej pracy jest rozwlekłość. Tkwi w niej kilka dramatów, rozgrywających się jednocześnie, powieściowa drobiazgowość w odtwarzaniu szczegółów, ale wszystko to odczute jest tak żywo, odtworzone z takim artystycznym rozmachem, że nawet ci, którzy najbardziej wyrzekają na przedstawienia, przeciągające się blizko do północy, przyznają, że szkoda cokolwiek z tej sztuki wyrzucić, tak wszystkie szczegóły są charakterystyczne i przyczyniają się do uplastycznienia całości.

Treść sztuki osnuta jest na tle walki wybitniejszej jednostki z pospolitem i banalnem otoczeniem.

Jula, jedna z pięciu córek państwa radców, ma nawskróś artystyczną duszę, duży talent malarski i olbrzymi temperament. To wszystko jest powodem, że cała rodzina cnotliwie filisterska prześladuje ją, zakłuwa drobnemi szpileczkami konwenansowych formułek, usiłuje zgnieść i podciągnąć pod szablon. Walka ta trwa przez trzy akty. Wszyscy są przeciw Juli, z wyjątkiem Jerzego Borońskiego, artysty dzieciaka, który jednak daje dowody, że męzką i hartowną ma duszę pod pozorami śmiesznego i zmanierowanego trochę usposobienia. On, który „pluje" na wszelką filisteryę, namawia Julę, żeby uciekła z domu i poświęciła się cała sztuce. Charakterystyczną jest rzeczą, że chociaż miłość wkradła się między tych dwoje, Jerzy nie pozwala jej rozwielmożnić się zanadto i chce, żeby Jula przedewszystkiem stała się wolnym człowiekiem, który o własnej mocy idzie naprzód i zdobywa, co zdobyć chce. Nie ma ona dość siły, aby zaufać tylko sobie i zerwać powijaki, w jakich wzrosła. Jerzy wyjeżdża za granicę, a Jula wychodzi za porządnego i zamożnego urzędnika, który ją bardzo kocha i ogromnie jest pewny, że ją uszczęśliwi.

W ostatnim akcie jest już matką, kocha dziecko, ocenia dobroć męża, mimo to jest nieszczęśliwą. Coś się porwało w niej, coś, za czem dusza jej zawodzi wielkim płaczem. Drze na kawałki płótno, na które napróżno starała się rzucić jeden z wymarzonych dawniej obrazów, gromi służącą, która co chwilę przerywa jej smutne dumania sprawami gospodarskiemi, wreszcie jest kapryśna i szorstka względem swego męża. Jest to ogromnie płytki i niemądry pan, ale w poczciwości swojej tak rozczulający, że, mimo całej sympatyi dla niedoli Juli, nie możemy pokonać wielkiego dla jej męża współczucia.

Dramat kończy się początkiem nowego. Przyjaciołka Juli przynosi jej tom nowel Borońskiego i opowiada o jego powrocie do kraju.

Ta przyjaciołka, to typ praktycznej i obłudnej panny, wychowanej bez żadnych podstaw etycznych, odgrywającej w życiu Juli rolę złego ducha. Jest to żądna wrażeń i dostatków kobieta, która pozwalając się ubóstwiać młodemu zapaleńcowi i dając mu bardzo wiele dowodów wzajemności, idzie mimo to za bogatego starca. Oczywiście od pierwszej chwili zdradza swojego niedołęgę, zachowując jednakże wszelkie pozory przyzwoitości.

Ta praktyczna Stasia przeważyła w decydującej chwili wolę Juli na stronę konwencyonalnego małżeństwa i wygodnego życia bez walki. Teraz, kiedy Jula jest mężatką, podtrzymuje w niej ferment niezaspokojonych pragnień i z przewrotnością kokiety, do gruntu zepsutej, podszeptuje nieszczęśliwej, ale dotąd zupełnie uczciwej kobiecie mnóstwo rzeczy, które mogą ją pchnąć na bezdroża.

Jula, zostawszy samą, drze, lękając się pokusy, książkę Borońskiego, ale zaraz w następnej chwili, szepcząc z namiętną tkliwością: nie, nie... nie! — zbiera rozproszone kartki, całuje je z uniesieniem, rzuca się na szesląg i zaczyna je czytać głośno. Na scenę spada przejrzysta zasłona, która ma zapewne przedstawiać obłoczne wspomnienia wspólnych marzeń. Na tem kończy się akt czwarty.

Dramat „W sieci" jest tak nowy zarówno pod względem formy, jak i oświetlenia przedstawionych w nim typów, że nietylko w naszej literaturze dramatycznej, ale nawet we współczesnej europejskiej tego rodzaju dzieła scenicznego nie było dotąd. Jeżeli nadzieje, jakie p. Kisielowski swoim debiutem obudził, nie zawiodą, to możemy mieć w krótkim czasie całkiem odrębnego typu dramat polski, który może śmiało stanąć obok Ibsena, Hauptmanna i Maeterlincka pod względem zupełnie indywidualnej oryginalności.

M. Turzyma.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

NAUKI PRZYRODNICZE. W „Wydawnictwie popularnem" Gebethnera i Wolffa wyszły: „Co chemia dziś może?" Z. Joteyko-Rudnickiej (208 str.) i „Świat podbiegunowy" A. K. S. (204) według najnowszych źródeł.

— Jako dodatek do *Wszechświata* zaczęło wychodzić zeszytami dzieło L. Meyera „Zasady chemii teoretycznej" w przekładzie S. Znatowicza.

MEDYCYNA. Dr. A. Wizel: „Dowcip u obłąkanych, oraz parę słów o ich talencie artystycznym." odbitka z *Krytyki lek.* (18 str.).

POEZYE

NAD ZATOKĄ.

I

Majestat, czar
Wzbił się nad mórz błękitnych tonie,
Wezuwiusz siadł na bzowym niebios skłonie
I marmurowy gród,
Italskich cudów cud,
Jak słodkie dziecię tuli na swem łonie
I wątłym smugiem par
Swych piekieł kryje war.

Nimf greckich bal!
W okrężnych pląsów sprzągł się zwieję
I tak szafirom bezdni Neapol się śmieje,
Jakby zapomniał już,
Że grodobójczy kurz
Popiołów zgasił szczęśliwą Pompeję —
I tchnął w wiekową dal
Strasznej tragedyi żal.

Bo tu się myt
Stał ciałem blasków, barw tysiąca
I niebios kopuła błękitna, gorejąca
Rozpala czucia skrę
W płomienną tęsknot grę,
A choć za wirchy pomknął rydwan słońca,
Tęcz dyamentowych świt
Kwieciem osypał byt.

Bo cudny wiew
Śle ten miłosny lazur morza:
Rozprasza smutki z wonią róż w przestworza,
Godowy rozplótł wir,
Gdzie czerniał grobów kir
I rozbłękitnia myśl, że dusza boża
Śpiewa skowrończy śpiew,
Namiętny szczęścia zew.

II.

Z nieb fiołkowemi malowanych farby
Szczerozłotego dżdżu olbrzymie krople trysły
Na bujny chaszcz,
Zielony wyżyn płaszcz,
I śród soczystych gałęzi zawisły
Nieprzebranymi cytryn i pomarańcz skarby.

To baśń, nie jawa! Migotają skrami,
Istną kaskadą złot zakryły bratnie liście,
Ogromny plon
Promiennych, ciężkich gron
Od łun zachodu czerwieni się krwiście,
Bo słońce—złoty deszcz w owoce przebalsami.

Zda się, że góry pod ulewą złotą
Gną się, a morza bóg namarszczył toń z zazdrości,
Iż pielgrzym z smutnych stref
W czarownej woni drzew,
Jak po ogrójcu hesperyjskich włości,
Błądzi i wzrok upaja natury pieszczotą.

III.

Dziergane w przędzę bzowych barw,
Różowi się powietrze
I na melodyach cichych harf
Waży się od snu letsze.

W osnowie fiołkowych gaz
Spoczywa szczyt ognisty,
A groźne czuby skalnych mas
Rozkwitły w ametysty.

Zatoki lazurowa głąb
Chwyta promienie słońca
I fioletów aż pod zrąb
Kładzie się wstęga drżąca.

Więc też i obłok w bzowy puch
Na niebie się owija
I płynie zwolna, tęsknot druh,
Przeczysty jak lilia —

W dal, kędy niewidnymi bzy
Otchniona atmosfera,
W fioletowe, jasne mgły
Horyzont wysp ubiera.

A tu, habrowy odblask wzgórz —
Pnącz wonnych klimatusów,
Splotami objął gęstwę róż
I miody ssie całusów.

I w taką się liliowość w krąg
Golf odział niepojętą,
Że jak czarowań duch się zląkł
Twych cudów, o Sorrento!

Cezary Jellenta.

SPRAWY EKONOMICZNE.

„WYJŚCIE ZE WSI.“

Emigracya ludności naszej rolniczej— ktoś pisze w jednem z pism codziennych — rzeczywiście przybrała rozmiary zatrważające i tak dalece groźne, że prowadzenie gospodarstwa rolnego folwarcznego w miejscowościach nadgranicznych staje się najzupełniej niemożliwe, niepodobna bowiem skompletować służby folwarcznej, ani jako tako skompletowanej utrzymać, ani też najęć robotnika.“

„W żadnym roku głosi inne pismo prowincyonalne — nie było tak wczesnych przygotowań do wychodźctwa na zarobki, jak w bieżącym. Dworacy gremialnie dziękują swoim chlebodawcom za służbę i są w chęci szukania gdzieindziej zarobku. Włościanie, nawet potrzebujący jednego lub dwóch służących, głośno wyrzekają na Prusy, odbierające im pomoc gospodarską. Dziwnie bo zaiste wychowują wieśniacy swoje dzieci, kiedy na ich perswazye nie zostają w domu, lecz bezradnych starców zostawiają bez środków, a same idą w świat. Mizerni Rusini z Galicyi częściowo zastąpią nam obieżysasów, ale nie wyrównają im w robocie; radzić więc zawsze musimy zawczasu, ażeby naszego zdolnego robotnika nie wypuszczać z kraju.“

Przytoczyliśmy dwa głosy, oba pochodzące ze wsi i w jaskrawych barwach przedstawiające rozmiary wychodźctwa i skutki, jakie z emigracyi wypływają dla gospodarstw folwarcznych. Sprawa ucieczki tłumów wiejskich za zarobkiem do miast i przedewszystkiem do Prus, co ma miejsce w powiatach, położonych nad granicą, wywołała w ostatnich tygodniach dość ożywioną wymianę zdań w łamach prasy warszawskiej. W tej polemice wyszło na jaw parę charakterystycznych szczegółów. Okazało się, iż czasowe wychodźctwo za chlebem do Prus przybrało znaczne rozmiary i przedewszystkiem zamieniło się na stałe zjawisko w naszem życiu ekonomicznem, które trzeba będzie zawsze uwzględniać. Następnie uwydatniło się, iż główną przyczyną wychodźctwa są korzyści materyalne, które „obieżysasi“ otrzymują, poszukując zarobku za granicami kraju. Prasa ziemiańska usiłowała możliwie zatrzeć ten punkt, twierdząc uporczywie, iż ciemnota wieśniaka, niepozwalająca mu odróżnić rzeczywistej korzyści od urojonej, daje możność łatwego otumaniania najemników wiejskich różnym agentom i werbownikom, którzy w ten sposób wywołują wychodźctwo do Prus, skąd chłop wraca zbiedzony, sponiewierany, nawet wyzyskany gorzej, aniżeli na „rodzimym“ zagonie. Co do tego, odpowiedzieć możemy słowami pewnego korespondenta z gub. Piotrkowskiej:

„Mieszkając przez długie lata w powiecie nadgranicznym, gdzie ruch emigracyjny na szeroką skalę się rozwinął, obecnie osiedliwszy się w promieniu wielkiego ogniska fabrycznego, miałem i mam sposobność dokładnie obeznać się z tymi nowymi prądami. Zaznaczyły się one bardzo dotkliwie dla mojej kieszeni, a jednak doszedłem do przekonania, że przynoszą znaczne korzyści krajowi. Wprawdzie bywają także wypadki niepowodzenia w tych wycieczkach za chlebem, indywidua słabsze fizycznie, bez żadnych zasad moralnych, giną w nędzy lub wracają do siebie zrujnowani pod każdym względem, ale stosunek ich do zyskujących jest tak drobny, że nie może być brany w rachubę. Co do moralności naszego ludu, to podług opinii wielu proboszczów wiejskich, jest ona gruntowniejszą, niż była przed kilkunastu laty.

„Jedyną poważną stratą, wynikłą z wychodźctwa ludności wiejskiej, jest obezwładnienie gospodarstw folwarcznych, gdzie brak rąk roboczych nie da się niczem zastąpić.“

Niewątpliwie, rozwijające się wychodźctwo ludu wiejskiego na czas robót w polu może jedynie dodatnio oddziałać na jego położenie ekonomiczne i na poziom umysłowy, tak samo, jak to widzimy za granicami kraju naszego, w społeczeństwach Europy zachodniej. Badacze bezstronni, umiejący wznieść się po nad poziom interesów ziemiańskich, przyznali, że taka emigracya stanowi jeden z bardzo wpływowych czynników podnoszenia się kultury wiejskiej, donioślejszy nawet, niż istniejące po wsiach szkółki, które uczą czytać i pisać, ale nie dają jeszcze pojęcia o dalekim świecie i jego stosunkach. Przedewszystkiem zaś wzrasta dobrobyt wiejski i wogóle poziom wymagań, jakie człowiek stawia życiu — poziom, którego wysokość jest najlepszą miarą cywilizacyi. Któryś z ekonomistów posunął się nawet do twierdzenia, że dopiero dzisiejsze wyjście wieśniaków ze wsi niszczy ostatecznie więzy, skuwające włościanina z posiadłością dworską. Zdanie to jest niezaprzeczenie słuszne, a dość będzie przejrzeć niektóre głosy prasy naszej, wypowiedziane z powodu rozpatrywanego zjawiska, ażeby zrozumieć, o ile może być ono zastosowane do nas. Pomiędzy wierszami można tam było czytać oburzenie na to, iż najemnik wiejski ośmiela się porzucać „ojcowiznę“ i szukać szczęścia w dalszej okolicy. Obywatel ziemski przyzwyczaił się uważać komornika, cierpiącego nędzę na wsi, jako nieodłączną przynależność swego majątku, i narzeka na jego wędrówkę, jak gdyby była zbrodnią, w każdym zaś razie patrzy na werbowników jako na szubieniczników.

Mniejsza zresztą o postawę ziemian. Rzecz niewątpliwa i najważniejsza, że emigracya może mieć bardzo doniosłe i pożyteczne skutki dla tłumów najemników wiejskich, słynących pod rozmaitemi nazwami: komorników, chałupników, małorolnych. Zjawiła się ona w czas, ażeby powstrzymać dalsze wyrodnienie ludności wiejskiej. Tak, wyrodnienie! Mniemamy bowiem, że w wielu okolicach naszego kraju położenie ludu wiejskiego jest takie, iż pewna część jego systematycznie, z dnia na dzień, z roku na rok nie dojada, a przynajmniej nie dostarcza organizmowi swemu pewnych substancyj, przecież nieodzownie potrzebnych. Statystyka urzędowa, zebrana przez komitet warszawski, wykazuje, iż w pewnych gminach gub. Suwalskiej mężczyzna obraca na swoje wyżywienie w ciągu doby zaledwie 10,1 kop., kobieta zaś dorosła tylko 6,8. Cyfry te są tak przeraźliwie nizkie, że na razie trudno nam było uwierzyć w ich wiarogodność, chociaż wszystko za nią przemawiało. Co więcej, istnieją wskazówki, że tak nizki poziom potrzeb, mogący zaspokoić się utrzymaniem parokopiejkowem, bynajmniej nie stanowi właściwości jednej tylko okolicy, lecz powtarza się i w innych miejscowościach kraju. Takie niedostateczne, przedewszystkiem zaś jednostronne pożywienie, mimowoli biorące za ideał swój zasady wegeteryanizmu, nie mogło nie pozostać bez wpływu na siłę fizyczną i wytrzymałość. Z różnych stron dochodzą nas skargi na wzrastające lenistwo chłopa, na to, że woli leżeć bezczynnie w domu, albo imać się zajęć gorzej płatnych, ale lekkich, niż brać się do robót ciężkich. Warto byłoby, ażeby człowiek doświadczony a niepowierzchowny wejrzał na miejscu w tę sprawę i zbadał, co się w gruncie rzeczy ukrywa pod temi skargami. Co do mnie, mam wrażenie, wprawdzie tylko wrażenie, ale oparte na spostrzeżeniach, robionych po za granicami naszego kraju, że może to lenistwo jest niczem innem, jeno nieumiejętnem sformułowaniem faktu ogłodzenia i wycieńczenia organizmu, który staje się niezdatnym do łożenia systematycznego a cięższego wysiłku. Najemnik, sam nie zdając sobie sprawy ze swego zachowania, bierze widoczną, istniejącą w świadomości jego pobudkę, za faktyczną przyczynę swojej ociężałości, a jeśli jeszcze czuje, że brak sił stanowi przyczynę lenistwa, to natomiast dla obywatela wszystko to zaciera się zupełnie i pozostaje tylko „demoralizacya,“ unikająca roboty, chociażby ta dawała zarobek. I inaczej być nie może. Od czasów uwłaszczenia małorolni zwiększyli się procentowo skutkiem zgoła naturalnego przyrostu zaludnienia, wprowadzenie lep-

szych narzędzi pracy na folwarku, np. grabi amerykańskich, dwuskibowych pługów również nie przyczyniło się do wzrostu zapotrzebowania siły roboczej. Słowem, liczba kandydatów do zarobku musiała podnieść się bardzo znacznie, ale rozmiary popytu na nią, wątpię, czy dotrzymały kroku temu wzrostowi. Cały ten nadmiar potrzebujących pracy do ostatniej chwili siedział na wsi, cierpliwie znosząc losy swoje i stanowiąc zbiornik taniej siły roboczej, będącej na każde zawołanie dworu.

Cokolwiek mówionoby, położenie to straszne! Wychodźctwo za zarobkiem do Prus odrazu otwiera lepszą perspektywę na przyszłość. Ażeby powstało ono, nie trzeba było widoków wyjątkowo dogodnych. Niektóre organa prasy naszej usiłowały wykazać sztuczność całego prądu na tej podstawie, iż wynagrodzenie, pobierane przez wychodźcę na obczyźnie, nie odskakuje tak mocno od swojskiego zarobku swoją wysokością. Obrachowano, iż na czysto emigrantowi pozostaje się może jakieś pięć lub dziesięć kopiejek na dobę. Nieco powątpiewam o wierogodności tych wyliczeń, ale nawet gdyby były prawdziwemi, to działanie pięciokopiejówki jest zgoła zrozumiałe. Tam gdzie koszta utrzymania dorosłej kobiety na dobę wynoszą zaledwie niecałe siedem kopiejek, tam możność odłożenia w ciągu dnia pięciu kopiejek musi przedstawić zachętę bardzo silnie działającą. Nie mówimy już o wielu innych czynnikach, które w grę wchodzą i wywierają wpływ w tym samym kierunku, tj. skłaniają wieśniaka do wychodźctwa. Bądź co bądź, emigracya, która zresztą liczy już około dziesiątka lat istnienia, wzrasta i musi wzrastać. Wychodźca nasz, przebywający „furtkę pruską," zastępuje tam, w wschodnich dzielnicach państwa niemieckiego miejscowego najemnika wiejskiego, który z takich samych pobudek, jakie naszego emigranta zapędziły do Prus, wychodzi do zachodnich prowincyi pruskich, a więc to Westfalii, Meklemburgii, nawet Alzacyi-Lotaryngii. Robotnik westfalski zaś opuszcza wioskę, ażeby w pobliskich kopalniach lub ogniskach przemysłu szukać lepszego zarobku. Wychodźctwo takie wciąga odrazu naszego wieśniaka w potok wielkiej wędrówki ludów, odbywającej się w obrębie Europy środkowej. Jeden zajmuje miejsce drugiego, i dość spojrzeć na to zjawisko z takiego punktu, ażeby zrozumieć, że mamy tutaj sprawę nie z jakiemś przypadkowem, chwilowem zdarzeniem, ale z objawem głębszej natury, zależnym od całokształtu stosunków ekonomicznych i że pomstowanie na werbowników, iż swoją działalnością stworzyli ucieczkę ze wsi najemników, jest kompletnem niepojmowaniem sprężyn rozwoju ekonomicznego. Wychodźctwo, opróżniając rynek wioskowy, stwarza na nim pewien niedobór siły roboczej, która napływa skądinąd — jeszcze z bardziej upośledzonych okolic obszaru wymienionego. Przychodzą tak zwani bandosi z Galicyi i „mizerni" Rusini, dla których nasze wynagrodzenie jest jeszcze wysokie.

Pozostaje jeszcze jedna strona do rozpatrzenia, mianowicie położenie folwarków, które niewątpliwie są narażone na ciężkie szkody z powodu wychodźctwa siły roboczej, względnie jej podrożenia. W społeczeństwie tegoczesnem zawsze tak bywa: to, co jest z korzyścią dla jednej grupy społecznej, przynosi nieraz ciężkie straty innym. Wykazaliśmy, że emigracya za zarobkiem dla tłumów ludu wiejskiego jest zjawiskiem bardzo pożądanem. Podnosi poziom zarobków, oddziaływa na stronę umysłową, kształci poczucie godności osobistej. Natomiast dla obywatelstwa ziemskiego to uwieńczenie dzieła uwłaszczającego zwiastuje zmniejszenie dochodów. Jest to jednak konieczność, z którą ziemiaństwo rado nierado musi się pogodzić. Wyjście ze wsi należy do liczby owych żywiołowych prądów społecznych, z którymi niepodobna nic poradzić: pojawiają się one i rozwijają tak samo, jak lawina stacza się z góry. Wprawdzie istnieją środki zapobiegawcze przeciw ucieczce najemników ze wsi, ale powrót do nich oznaczałby wskrzeszenie zasad dawnego pańszczyźnianego przymocowania do gleby. W ostatecznym rezultacie ucieczka ze wsi siły roboczej, albo będzie zastąpioną przez zaprowadzenie maszyn, które zamieściłyby siłę ludzką, albo przez zastosowanie lepiej płatnych najemników. Tak lub inaczej, wywrze ona jeden skutek: obniży wartość majątku ziemskiego, zmniejszając otrzymywane z ziemi dochody. Zresztą mniemamy, straty, dotyczące wartości folwarku, zostaną zrównoważone przez dążenie zniżkowe stopy procentów. Jako rzecz trwała i nieprzejściowa, pozostanie spadek dochodów z majątku. W każdym razie udzielilibyśmy jedną radę ziemianom, mianowicie, ażeby patrzyli na ucieczkę najemników ze wsi jako na fakt, któremu nie podołają i który według wszelkiego prawdopodobieństwa w dalszej przyszłości jeszcze bardziej wzrośnie.

Z.

O PRAWDĘ.

Głos zmonopolizował sobie sprawy ludu, więc bardzo się irytuje, gdy ktoś jego rogatkę przekroczy. Obecnie jeden ze współpracowników tego pisma, pan △, oburzył się na *Prawdę* za to, że śmiała bez jego upoważnienia napisać artykuł o umoralnieniu ludu. „Rdzeń kwestyi—uczy nas ten pan—nie leży w klasyfikacyi przestępców (na „rzeczywistych" i „nieświadomych") — jeno w klasyfikacyi przestępstw." A o cóż nam chodzi? Szkoda, że pan Trójkącik, pogromca „apatycznego społeczeństwa," jest tylko „piśmiennym" w całem słowa tego znaczeniu, tj. nauczył się jako tako pisać, lecz nie umie czytać. Bo gdyby i tę sztukę posiadał, nie zalecałby nam wskazywania środków.. przez nas wskazywanych, lecz jeszcze dowiedziałby się z naszego artykułu, że rdzeń sprawy tkwi nietylko w klasyfikacyi przestępstw, ale także w wielu czynnikach socyologicznych i społecznych. Co do „kopiowania" artykułu p. Kalinkowskiego, lepiej i sumienniej jest zacytować treść cudzego artykułu, niż fałszować cudze myśli, jak to czyni *Głos*, zgodnie ze swą etyką publicystyczną. Nie dość jest trzeźwić lud i zalecać ogółowi trójkąty społeczne. Trzeba jeszcze posiadać trochę rozwagi w roztrząsaniu potrzeb życia i odrobinę rzetelności w czynieniu zarzutów innym.

Zenon Pietkiewicz

W DALI.

Mińsk. Już przeszło od lat 20 istnieje w mieście Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, które powstało w chwili, gdy towarzystwa wyzyskiwały strasznie ubezpieczających swe mienie. Dzięki takim warunkom, nowa instytucya odrazu zyskała powodzenie. W chwili obecnej posiada ona już 152,272 rb. kapitału, co zmniejsza znacznie wzajemną odpowiedzialność członków i pozwala zniżyć premie ubezpieczeniowe stopniowo aż do zera dla tych, którzy się ubezpieczali od początku istnienia Towarzystwa. Na czele instytucyi stoją obecnie pp.: prezes dr. Z. Święcicki i dyrektorowie: Janowski i S. Dobrowolski. Działalność Towarzystwa nie przekracza granic miasta. Skutkiem tego ziemianie czynią obecnie zabiegi o stworzenie takiej instytucyi dla siebie. — Towarzystwo dobroczynności w Mińsku rozwija się również względnie pomyślnie. W roku ubiegłym dochód wyjątkowo był bardzo duży: wynosił ogółem 19,935 rb. (z bazaru 6,065, z ofiar prywatnych 3,302, z procentów od kapitału 2,154, wpisowe członków 817, dochód z nieruchomości 965 rb. itd.). Wydatki były znaczne mniejsze, niż dochód. Utrzymanie przytułku wraz ze szpitalem itp. 6,405 rb. restauracya 319, łóżka żelazne dla chłopców 300; rozdano ubogim w mieście 300 itd., ogółem 7,757 rb. Owe cyfry wydatków świadczą jednak, że działalność Towarzystwa dotychczas jest bardzo skromną.

Kijów. Podczas „kontraktów" kijowskich, niedawno zakończonych, notowano bardzo wysokie ceny ziemi. Zarówno sprzedażnej, jak i dzierżawnej. Tak np. majątek Skarżynówka od p. G. nabył pewien zamożny włościanin po 200 rb. dziesięcina, a Monasterzyska wypuszczono w dzierżawę po niesłychanie wysokiej cenie: po 16 rb. 50 za dziesięcinę. Rolnicy znajdowali kredyt łatwiej i taniej, niż w latach dawniejszych; plantatorowie buraków także za swój produkt osiągali cenę znacznie wyższą, niż dawniej, bo zawierano kontrakty po 1 rb. 60 kop. i wyżej za berkowiec. Pszenica była w cenie do 80 kop. za pud, lecz umów zawarto niewiele, bo lepsze warunki gospodarstwa nie zmuszały rolników do sprzedaży tak wcześnie głównego produktu żyznej ziemi. — Projekt nowego kościoła pod wezwaniem św. Mikołaja w Kijowie zyskał już zatwierdzenie ministeryum spraw wewnętrznych. Sporządził go budowniczy kijowski, p. Horodecki, podług 4 nagrodzonych szkiców konkursowych. Gmach świątyni, utrzymany ściśle w stylu gotyckim, mieć będzie dwie wieże, po 200 stóp wysokości.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pozwolono na zawiązanie trzech nowych towarzystw straży ogniowych: w Grodzisku (pow. Błoński), Tarczynie (pow. Grójecki) i Brześciu Kujawskim (pow. Włocławski).

— Osobom wypuszczonym z więzień otworzono wstęp do zakładów zarobkowych. Królestwo Polskie posiada osiem takich zakładów: w Warszawie 3, w Lublinie 1, Radomiu 1, Piotrkowie 1, Płocku 1 i Suwałkach 1.

— Władze upoważniły komitet kasy im. Mianowskiego do przyjęcia zapisu Feliksa Aleksandra Wojciechowskiego, w sumie 6,000 rb., oraz części ruchomości, celem wydawania z tego źródła zasiłków studentom uniwersytetu warszawskiego lub innych zakładów naukowych, Polakom, wyznania rzymsko-katolickiego, z warunkiem jednak, aby lista osób, którym będą wydane zasiłki, była corocznie przedstawiana przez komitet Kasy kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego.

Szkoły. Kandydatami, pragnącymi ubiegać się o wakującą w uniwersytecie warszawskim katedrę fakultetowej kliniki chirurgicznej po prof. Julianie Kosińskim są, jak donosi *Warsz. Dniew.*, profesorowie tegoż uniwersytetu: zwyczajny na katedrze chirurgii operacyjnej M. Maksimow i nadzwyczajny na katedrze chirurgii teoretycznej, W. Wasiljew.

— W Pekinie otwarto pierwszy uniwersytet chiński.

Dobroczynność. P. Zofia Rau ofiarowała 10,000 rb. na rzecz sanatoryum dla niezamożnych suchotników i 15,000 rb. na wsparcia (z procentów) dla wdów po robotnikach zakładów Towarzystwa akcyjnego p. f. Lilpop, Rau i Loewenstein.

Zamach. *Kuryer Warsz.* podaje następującą wiadomość: „Zuchwalstwo rzezimieszków i włóczęgów podmiejskich przekraczają wszelkie granice. W biały dzień, gdyż około godziny 3-ej po południu, banda dziesięciu napastników, uzbrojonych w rewolwery i noże, zabrała się do rozkręcania szyn z plantu kol. Nadwiślańskiej, na samym rozjeździe w Targówku. Gdy we wspomnianem miejscu zjawili się niebawem dwaj oficyaliści kolejowi, napastnicy przyjęli ich tak wyzywająco, iż wystraszeni stróże bezpieczeństwa uciekli i skryli się w budce strażniczej, skąd za pomocą telefonu zawiadomili zwierzchność stacyjną w Targówku, ta zaś ostatnia zawiadowcę stacyi Praga, p. Podwerbnego. Gdy p. P. w asystencyi przedstawiciela służby drogowej, urzędników stacyjnych i kilku robotników przybył na wskazane miejsce, rabusie zbiegli bezkarnie w pole, a na wymierzone do nich strzały rewolwero-

we również odpowiedzieli strzałami. Niewątpliwie złoczyńcy zamierzali wykoleić najbliższy pociąg, w celu dokonania rabunku." Wypadki takie zdarzały się śród stepów i puszcz amerykańskich, zaludnionych przez Indyan. Ale tam nie było jeszcze wtedy organizacyj bezpieczeństwa publicznego.

Koleje i komunikacye. P. Piotr Samborski, właściciel dóbr Krzyżanówek, otrzymał koncesyę na budowę kolei wązkotorowej z Łomży do Czerwonego Boru. Roboty zaczną się w początku maja.

— W r. z. przy przejściu kolei Nadwiślańskiej do skarbu akcyonaryusze krajowi przeznaczyli fundusz w stosunku rubla od akcyi na gratyfikacye pracownikom spadłym z etatu. Obecnie akcyonaryusze zagraniczni postanowili to samo uczynić. Dzięki temu fundusz ze źródeł zagranicznych wynosi 97,000 rubli.

— Komunikacya telefonowa między Moskwą a Petersburgiem kosztować będzie 22,000 rb. rocznie.

— Na oddziale berdyczowsko-kalinowskim kolei podjazdowej Żytomierskiej wprowadzono pociągi pocztowe.

Wystawy i zjazdy. W Budapeszcie odbędzie się wystawa acetylenu 14—28 maja.

— W Odesie zamknięto zjazd wodociągowy.

— W maju odbędzie się międzynarodowa wystawa ogrodnicza w Petersburgu.

— W Warszawie wystawa rybacka ma się odbyć w sierpniu.

— W Kownie otwarto pierwszą wystawę sztuki starożytności, na którą między innymi nadesłano okazy z Paryża.

Zmarli. Hr. Karol Hohenwarth, w Wiedniu, były prezes ministrów.

Henryk Kiepert, geograf, w Berlinie.

Edward Pailleron, w Paryżu; komedyopisarz francuski.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu Eug. S. w Sieprawkach. Obie te książki są dawno wyczerpane.

Zelek. Utwór bardzo nikły, posiadający wartość tylko dla autora i adresatki.

Pani Rozy Win w Szabacu. Znamy adresy tylko dwóch adwokatów w Petersburgu: B. Olszamowskiego: Zagorodnyj prospekt 13, i L. Blumentala: [illegible]

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Апрѣля 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.